

w rzeczy samej - sedno

Do szkoły uczęszczałiśmy wszyscy lub prawie wszyscy. Do szkoły określanej jako państwowa. Z obowiązku trudno się wykreść. Trochę inaczej jest ze szkołami prywatnymi. Przymus nauki działa przeciw osobowości



Szkoła w takim pojęciu to instytucja, machina swoistego zniewolenia, że wspomnę tu casus Stanisława Ignacego Witkiewicza, który sam zajął się edukacją syna, twierdząc, że tak będzie lepiej, gdyż, według niego, szkoła (w pojęciu instytucji) niszczy indywidualność młodego, kształtującego się człowieka. Organizował w ten sposób domowe korepetycje dla syna, dobierając co znamienitszych artystów i profesorów, co, jak się później okazało, nie przeszkodziło w uzyskaniu przez potomka, zaszczytnego tytułu Laureata Złotego Wawrzynu Akademickiego Polskiej Akademii Literatury. Zresztą, młody Witkiewicz (Witkacy), wbrew woli ojca (od młodych lat był niespokojną osobowością) samodzielnie rozpoczął studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Poza szacownymi murami pozostaje szkoła życia. A zaczyna się to od... własnego podwórka, klatki schodowej etc. Mnie udało się „zaliczyć” szereg po sobie następujących klas w szkolnych murach, również i poza nimi. Po latach, często pojawia się milczące wspomnienie - obraz klimatów szkolnych murów. Nadal twierdząc, że przed skostnieniem tych instytucji uratowały je (i mnie) niepospolite osobowości nauczycielskie, ludzie z pasją i darem intelektualnego dialogu. Miałem to szczęście, chociaż nigdy nie polubiłem momentów wejścia do klasy „państwowego” nauczyciela, rzucającego na stolik insygnia władzy, z pobieżną, czynioną przez niego, lustracją sali, po czym 180-procentowym zwrotem (na pięcie) w kierunku (nie zawsze czystej!) tablicy oraz z chwilą niepewności, by wyciągniętą nauczycielską ręką wykonać kanoniczny gest... zamaszysty zapis: TEMAT. Słowo to wprowadzało mnie w dziwny stan niepokoju, a nawet buntu. Burzyło stan logicznej ciągłości. Dla mnie pozostaje synonimem nieokreślonego stygmatyzowania. Dalej

jestem niechętny jakimkolwiek zaszufładowaniom i programowym działaniami. Myślę też, iż ojciec Witkacego również to brał pod uwagę, odpowiednio postępując z synem. Później, jak wiemy, sam Witkacy notorycznie „uciekał” od „form” poprawności i utartego ładu. I jakiegokolwiek gdybanie mija się tu z celem. Nie nam osądzać, czy był to „właściwy” wybór. Być może, w naszym mniemaniu, dalszy życiowy „chaos” Witkacego wymyka się spod „kontroli społecznych normalności i uwarunkowań”, niemniej wykreował „wolnego” artystę wartego uwagi oraz muzeum, czyli zbiorowej pamięci. Dodam, iż w zasobach Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku znajdują się największe w Polsce i świecie kolekcje Witkacego; funkcjonują tu w charakterze ekspozycji stałej.



Studia nad Gombrowiczem przyniosły mi kolejny ożywczy wiew, wypełniając przestrzeń pomiędzy dwoma kolorami (jakże oczywistymi) egzystencji człowieka (choć, jak mniemam, i całego świata), a mianowicie: czarnym i białym. Bytujące jako - awers i rewers. To, co wypełnia ową przestrzeń, jak ujął (co aprobuję) recenzent mego ostatniego tomu wierszy - poeta Mirosław Kościński, jest magmą sensu (imponderabilia). Kościński napisał: „Marcel Proust w kolejnych tomach „W poszukiwaniu straconego czasu” ujawnił, że język i literatura posiadają wymiar widmowy i wydaje się, że... (tu autor nin. artykułu) podąża tym tropem. Stąd wiersze opisujące relacje międzyludzkie w kategoriach fantomatyki, nieobecności i dystansu, dla przykładu wiersz „Halabardziści mojego tysiąclecia”, czy „Lustracja obiektywna”, cyt.: „Widziałem listki drżące / na trzepaku historii.” Niektóre wiersze dotyczą zjawiska symbolizmu, stąd nie są łatwe w odbiorze czytelniczym”.

ciąg dalszy na str. 12



Są książki, które czytane jako lektura obowiązkowa w szkole powodują zniechęcenie, i z łatką „nudne” odłożone w najdalszy kąt, pokrywają się kurzem. Najczęściej też opinia o nich krąży przez kolejne roczniki uczniów, niosąc z góry już wydany wyrok na daną książkę. Tak właśnie jest z najgłośniejszą powieścią Elizy Orzeszkowej

„nad niemnem” elizy orzeszkowej

Najczęstszą reakcją na tytuł „Nad Niemnem” jest wzdychanie: „Ach, te opisy przyrody...”. Rzeczywiście, długie, bywa że i na dwie stronicie opisy przyrody są ważnym elementem dzieła Orzeszkowej, ale też i niezbędnym tłem dla opowieści w nim zawartych. Opowieści te jednak wielu potrafi docenić dopiero przy kolejnym czytaniu, a po lekturze w szkole niechętnie wraca się do „przerobionych” już pozycji. Do „Nad Niemnem” warto, naprawdę warto wrócić.

Eliza Orzeszkowa nie była związana ze wsią ani urodzeniem, ani wychowaniem. Panienska z ziemiańskiego dworu, córka adwokata, w wieku kilku lat w roku 1844 zamieszkała z rodziną w Grodnie. Na pensję pojechała do Warszawy, gdzie zaprzyjaźniła się z Marysią - późniejszą Marią Konopnicką. W niedługim czasie po skończeniu nauki, wyszła za mąż. Zamieszkała w Ludwinowie, majątku męża, około czterdziestu mil od Grodna. Dyskusje w kołach ziemiańskich o przemianach społecznych, w tym o uwłaszczeniu chłopów, a także czytane książki skierowały uwagę Orzeszkowej w stronę wsi, co zaowocowało założeniem przez nią w Ludwinowie szkółki dla dzieci chłopskich. Po kilku latach pobytu Orzeszkowej w majątku męża przyszedł rok 1863 i powstanie styczniowe, w czasie którego była ona łączniczką walczących, zaopatrywała ich w żywność, a dowódcę Romualda Traugutta przewiozła we własnej karecie do granic Królestwa Polskiego. Po upadku powstania Piotr Orzeszko został zesłany na Syberię, a pani Eliza wróciła do majątku rodzinnego, Miłkowszczyzny. Zarządzanie majątkiem ziemskim przerosło jednak siły Orzeszkowej; sprzedała go i przeniosiła się, już na stałe, do Grodna, gdzie zmarła w roku 1910.

Wies, choć nieznaną pisarce z korzeni, stała się tematem jej debiutu. Pierwszy utwór, napisany w roku 1866 podczas pobytu w rodzinnej Miłkowszczyźnie opowiadanie „Obrazek z lat głodowych”, przedstawiało kontrast między głodującą na przednówku wsią a sytym, rozbawionym dworem ziemiańskim. Orzeszkowa podejmowała na swej drodze twórczej tak ważne kwestie swej epoki jak emancypacja kobiet - w „Marcie”, czy problemy społeczności żydowskiej na ziemiach polskich - to „Meir Ezofowicz”. Temat wsi był także bardzo znaczący dla pisarki, tworzącej w duchu pozytywizmu - wśród kilkudziesięciu powieści, opowiadań i nowel znalazły się takie powieści jak „Niziny”, gdzie akcja rozwija się wśród robotników folwarcznych, czy „Dziurdziowie”, osadzeni w realiach wsi białoruskiej. Powieść z roku 1888, „Cham”, to historia

rybaka, szczerego i dobrego chłopca, samotnika i myśliciela, który zakochuje się w pokojówce państwa z miasta. Miłość ta prowadzi do małżeństwa, ale nie jest ono szczęśliwe; dziewczyna przyzwyczajona do życia w mieście, niespokojna i histeryczna, a przy tym mająca wpojoną pogardę dla chłmów - mieszkańców wsi - zdradza swojego rybaka, prowadzi własne stracone życie, aż do samozniszczenia. Orzeszkowa zamierzała pokazać w tej powieści, że kultura miejska może degenerować, a harmonię i szczęście daje wieś. Pokojówce wieś szczęścia nie dała, a spotkanie z „miastową” stało się

nieszczęściem dla spokojnego chłopca. Czy jednak ten swoisty mezalians tylko tak musi się skończyć? W tymże roku 1888 pojawiło się „Nad Niemnem”, gdzie miłość podobna jest szczęśliwa.

„Nad Niemnem”, najwybitniejsza powieść Elizy Orzeszkowej, to epicka, w szerokiej panoramie przedstawiająca wieś historia osnuta wokół rodzącej się miłości panienci z dworku i chłopca, acz ze szlacheckiego zaścianka, ale chłopca, własnymi rękami pracującego na roli. Justyna Orzelska i Jan Bohatyrowicz to para bohaterów, których uczucie rozwija się na kartach powieści bardzo, bardzo powoli. Spotykają się oni co prawda już na pierwszych stronicach, gdy Jan jadąc wozem mija idącą po lną drogą Justynę; a on widział ją już wcześniej, z daleka. Z daleka bowiem, jeżeli w ogóle, widują się mieszkańcy dworku w Korczyniu i zasiedlający swój zaścianek Bohatyrowicze. Kiedyś jedni i drudzy równi byli sobie, gdy ramię w ramię walczyli w roku 1863,

w powstaniu. Teraz jednak, po dwudziestu latach, ci równi leżą nadal we wspólnej mogile, a ci co zostali, niepomiernie przeszłości, wrogami są sobie. Z daleka zatem Jan patrzył na Justynę, nie śmiejąc o niej nawet marzyć. Panna jednak sama mimowolnie wyszła mu naprzeciw, gdy los tak pokierował jej ścieżką, że uciekając na chwilę od przeszłości zatrutej miłością do Zygmunta Korczyńskiego natknęła się na orzącego Jana Bohatyrowicza. Od tej chwili przed oczami czytelnika kielkuje i nieśmiało rozwija się miłość, piękne uczucie dwojga ludzi zasługujących na nie w pełni. Nie jest ono wolne od przeszkód, bo i mezalians, i poróżnienia między dworkiem a zaściankiem, i konkurencja Justyny, a i dziewczyna chcąca wydać się za Jana...

Miłość w „Nad Niemnem” to nie tylko ta najważniejsza i najpiękniejsza, Justyny i Jana. Trzystuletnia mogiła Jana i Cecylii, protoplastów rodu Bohatyrowiczów, kryje opowieść o miłości przekraczającej różnicę stanową, o miłości, która w środku lasu tworzy szczęście. Przyglądamy się też miłości

cierpliwej, wioskowego franta Michała, który czeka i czeka na swoją Antolkę, a widzi ją co dzień przecież. Podziwiamy uczucie silniejsze niż śmierć, pani Andrzejowej Korczyńskiej, która owdowiawszy młodo, wciąż, ponad dwadzieścia lat jest wierna swojemu mężowi - powstańcowi, leżącemu w lesnej mogile. Na kartach powieści przesuwają się też przed oczami czytelnika miłość nieszczęśliwa. To wciąż jeszcze żywe uczucie pana na dworze w Korczynie, Benedykta, do żony Emilii; ta jednak, pogrążona we własnym świecie chorób hysterycznych i utrudnień romansów książkowych, nie widzi w mężu obiektu uczucia, bo tak już różny jest od modnego młodzieńca czytającego z nią powieści... W kilku odsłonach poznajemy niespełnioną miłość podstarzałej już rezydentki w Korczynie, Marty, i Anzelma Bohatyrowicza. Nigdy blisko było, by się już nie rozstali, ale ona zlekka się mezaliansu i pracy na roli. Oboje pozostali wolni, a teraz, po latach, „poranek widział kwitnąca, rumianą, a wieczór...”. Wreszcie, miłość nieszczęśliwa, nieodwzajemniona, Klotyldy do Zygmunta i Jadwigi do Jana. A Elżusia i Franek? A dziadunio Jadwisi, szukający wciąż wiarołomnej żony? Uczucia, tak wielobarwnie przedstawione przez Orzeszkową, żywymi się wydają i zapadają w pamięć czytającego, wywołują wzruszenie, czasem żal, często uśmiech.

Losy bohaterów, ich uczucia, myśli, postępowanie, nieodłączne się wydają od przyrody, która w „Nad Niemnem” jest bardzo ważna. Przede wszystkim sam Niemen, rzeka dająca wodę i pożywienie, wciąż obecna, czy to na horyzoncie, czy tak blisko jak w czasie burzy, gdy fale miały łądkę z przerażoną Justyną, a Jan spokojnie wprowadzał ją do bezpiecznej przystani. Wokół Niemna bory, chaty, pola, sady. Rośliny, wymieniane przez Orzeszkową z imienia niemalże, oszałamiają swoim bogactwem: „Z obu stron każdej drogi szerokim pasem białe bujne rumianki i wyższe od nich kwiaty marchewnika, stały się w trawach fioletowe rotule, żółtymi gwiazdkami świeciły brodawniki i kurcze ślepoty, liliowe skarbiozy polne wylewały ze swych stulistnych koron miodowe wonie, chwiały się całe lasy słabej i delikatnej mielicy, kosmate kwiaty babki stały na swych wysokich todygach, rumianością i zawadiacką postawą stwierdzając nadaną im nazwę kozaków”. A to

przecież te rośliny, których nie zauważamy, idąc polną drogą. Orzeszkowa potrafi opisać je tak, że w gęstwie splecionych chwastów możemy zobaczyć piękno - czytamy zatem, uważnie każde zdanie. Takie jak to jedno, a zawierające tyle trudu chłopskiego: „Żyto i pszenica miały kłosa jeszcze zielone, lecz już obsypane drżącymi rożkami, których obfitość wróżyła urodzaj; niższe znacznie od nich, rumianym kwiatem gęsto usiane, stały się na szerokich przestrzeniach liściaste

puchy koniczyny; puchem też, zda się, ale drobniejszym, delikatniejszym, z zielonością tak łagodną, że oko pieściła, młody len pokrywał gdzieś tam kilka zagonów, a żółta jaskrawość kwitnącego rzepaku wesołymi rzekami przepływała po łąkach niskich jeszcze owsów i jęczmion”.

Te zboża to obraz pracy rąk, chłopskiego trudu. Praca stała się dla Justyny, wraz z miłością do Jana, źródłem szczęścia i poczucia sensu istnienia, którego nie miała, rezydując w dworku w Korczynie. Praca jest też sensem życia Marty,



a dla Benedykta i jego syna Witolda stała się pomostem do wzajemnego zrozumienia. Własnoręczne szycie odzienia dla ubogich chłopów i uczenie wiejskich dzieci to, oprócz miłości do zmarłego męża, wypełnienie dni pani Andrzejowej Korczyńskiej. Powieść Orzeszkowej zatem to nie tylko przepiękne obrazowanie bujnej przyrody nadniemeńskiej, to nie tylko ludzkie dążenia i uczucia, ale i, jako jedno z najważniejszych, pochwała pracy, jako przynależnej godności ludzkiej, a praca na roli z tych godności jedną z największych.

„Nad Niemnem” zostało dwa razy przeniesione na ekran. Film z roku 1939 kręcony był w Bohatyrowiczach - właśnie w tych Bohatyrowiczach, gdzie grób Jana i Cecylii, i gdzie do dziś jeszcze najprawdopodobniej żyją potomkowie pierwowzorów postaci powieściowych. Barbara Wachowicz w książce „Ty jesteś jak zdrowie” opisała swoją podróż nad Niemen śladami Elży Orzeszkowej, w latach osiemdziesiątych. Dotarła do wsi Bohatyrowicze i spotkała Annę Bohatyrowicz, urodzoną w roku 1901, a która tak opowiadała: „Ta brzoza nie pomni już Jana i Cecylii, ale Jana i Justynę pomni... Ot, tu zagroda Janka Bohatyrowicza była. Ładny domek... Okno się tylko puste jeszcze w tej ścianie zostało... Zwalone wszystko... Zarosło...”. Taśmy z filmem zaginęły w zawierusze wojennej i nie zobaczymy Bohatyrowicz, ale obejrząc możemy kolejną ekranizację powieści, z roku 1986. Film ten, a także serial, z Iwoną Pawlak jako Justyną i Adamem Marjańskim w roli Jana, nie przeniesie nas dokładnie w tamte okolice, ale nastrój opowieści, malownicze kadrowanie przyrody i rozświetlenie, pięknie pokazujące wieś podczas żniw, dobrze oddają ducha „Nad Niemnem”. Warto obejrzyć film, ale w pełni można rozsmakować się dopiero w powieści, a czytając ją niespiesznie, najlepiej po raz kolejny, docenimy i opisy przyrody, naprawdę urzekające.

Jolanta Betkowska, Słupsk

SŁOWA W WIELKIEJ SPRAWIE

poetyckie spotkanie z przygodami

Dla pani Anny, poetki z Dobieszewka, spotkanie z naturą jest prostsze niż z czytelnikami. Miała tremę, mimo że lubi ten dreszczyk, rodzaj niepewności czy trafi swoją szorstką poezją do słuchaczy, czy nie zawiedzie.

Ma za sobą debiut w postaci tomu poezji „Kocie łby” z 2010 roku oraz „Nawet ptakom zabrano nuty” (2014). Oba tomiki odnotowała prasa regionalna, w tym „Dziennik Bałtycki. Rejsy” (2011-06-13) piórem Barbary Szczepuły. Debiut

*„Te słowa są w wielkiej sprawie,
W sprawie popegeerowskich ludzi
Którzy obsiewali polne zagony
Ziamem, wiarą, pełni nadziei”*

I choć szczerze wyznała, że o pisaniu wierszy nigdy nie myślała, że spadło to na nią ze łzami żalu po wyjeździe dzieci za pracą za granicę, to teraz bez wierszy żyć nie może. Na-



Pani Anna Karwowska do Objazdy jechała z przygodami. Co, że osobisty kierowca zgubił drogę, było nawet przyjemne, bo majowy dzień był ciepły i słoneczny, a postój w okolicy lasu dał możliwość sprawdzenia, jak „święta Zofija ktoś rozwija”

mieszkancki Dobieszewka, byłej dojarce w miejscowym pegeerze, zainteresował dziennikarkę z powodu wyrażanej śmiałości i szczerze tęsknoty za dawnym życiem w ostoi peerelu, jakimi były w powszechnej świadomości pegeery. Tomik wierszy Anny Karwowskiej „Kocie łby” zauważyła również Barbara Pietkiewicz w artykule „Poetka, która opiewa PGR. Zgaszono mnie jednym pstryknięciem” (Polityka.pl /20.08.2011). Znana dziennikarka dziwiła się, że „Anna pisze w wierszach, dlaczego było super: stała praca, nie żadne na czarno, co miesiąc wypłata, wycieczki do miasta, dyplomy. (...). I bliskość wśród ludzi, której teraz nie ma, każdy żyje sam sobie.”

A Anna Karwowska jest poetką. Jest poetką w sposobie widzenia i przeżywania losu i opisywania własnego świata. Jest poetką świadomą własnej roli, znaczenia poetyckiego słowa i odpowiedzialności za nie. W wierszu „W wielkiej sprawie” pisze:



pięła ich więcej niż noblistka Wisława Szymborska. Właśnie składa, zbiera i wybiera wiersze do trzeciego tomiku „Serce nadgryzione nadzieją”. I to spotkanie w Objęździe ma z tym związek. Pani Ania tak się odwdzięcza za przygotowanie wstępu i korekty. No tak, to też przygoda, nikt się takiego obrotu rzeczy nie spodziewał. Ani mieszkańcy Objazdy, ani poetka.

Sołtys wsi Objazda pani Regina Brzywcy kiedyś była głównym zootechnikiem. Pamięta dobrze, że pegeery były przystanią dla ludzi nieradzących sobie w życiu. Zapomniano o takiej ich roli, o zapobieganiu ubóstwu, niedostosowaniu społecznemu, wykluczeniu. Ważna była produkcja, ale nie

mniej ważna była funkcja społeczna i socjalna. Zlikwidowano je bez pomysłu, co w zamian. Pozostały puste budynki i pola. I ludzie.

Między innym dlatego pani Małgorzata Budnik - Żabicka, dyrektor Centrum Kultury w gminie Ustka, propozycję spotkania z regionalną poetką przyjęła ze zrozumieniem. Przygotowała spotkanie, dla którego wybrała motyw: „Słowa w wielkiej sprawie”. Były plakaty i zaproszenia, i wystawa wydawnictw sponsorowanych przez Starostwo. Nie, nie było tłumów, ale sympatyków poezji było tylu, że stoliki i krzeselka trzeba było dostawiać. Wszyscy tu pamiętają tamte czasy, więc przyszli posłuchać jak brzmią wiersze w ich sprawie. W kameralnej atmosferze przy herbatce Anna Karwowska mocnym głosem czytała wybrane przez siebie wiersze ze wszystkich tomików. Przywoływała miniony świat, wyrażała tęsknotę za utraconą młodością i poczucie straty, i odczuwanej niesprawiedliwości.

Może pojawić się zarzut, że autorka mitologizuje przeszły czas, rzeczywistość, która wówczas przeżywana, wcale nie wydawała się rajem, że to tylko poczucie straty nadaje mu ów arka-dyjski wymiar. Lecz zarzut pali na panewce, autorka bowiem świadomie stosuje zabieg pozwalający na wyraźne skontrastowanie dwu rzeczywistości, jakich osobiście doświadczyła. „Dawna wieś / to już baśniowy dźwięk, / zmieniono wystrój”. Pochwała ciężkiej pracy w polu, w oborach i chlewniach w wierszach poetki z Dobieszewka jest obroną wartości, w które wierzyli prości ludzie. Rozpad tamtego świata stał się upadkiem - dosłownym i metaforycznym - ogromnej rzeszy ludzi, o których godność upomina się Anna Karwowska.

„Prosty człowiek jak drzewo
Został niczym skrzypce bez strun,
W ręce chwyta pustkę,
W której kiedyś płynęła jasność,
I biało - czerwona fruwała chorągiew.”
(Ktoś znikąd)

Bohaterami jej wierszy są „nędzni, zgorzkniali”, którzy nie mają „żadnych pytań / do polityków, do władzy”. Nowa rzeczywistość dzieli ludzi na biednych i bogatych, na my i oni, wbrew nadziejom. Rozpadł się dawny, stabilny, choć niedoskonały świat, zerwały się więzi

sąsiedzkie, społeczne, zdewaluowało się pojęcie ojczyzny, która dzieci wysyła za chlebem w obce kraje, nawet wiara w Boga nie wydaje się pewna.

„Gdzie On może być?
Dlaczego milczy?
Gdy grzech rośnie na ziemi
Jak ziele w ogródku -
przecież zmartwychwstał.
Gdzie mam go szukać?
(Gdzie on jest?)

Opisywany świat, przeniesiony w sferę literackiej fikcji, pozostaje jednak realnym doświadczeniem autorki, jej pokolenia pięćdziesiąt plus z małych wsi i miasteczek, ludzi wykluczonych, pozostawionych samym sobie na marginesie przemian ustrojowych. Nie tylko status społeczny i ekonomiczny, choć i ten problem podejmuje poetka, decyduje o poczuciu wykluczenia. W dotychczasowym systemie wartości praca była źródłem satysfakcji, społecznego uznania i wspólnotowego doświadczenia. Pozostała pustka, tym bardziej dojmująca, że ziemia - dotychczasowy archetyp domu, ojczyzny, dobrobytu - stała się towarem, przedmiotem spekulacji lub leży ugiem.



W dyskusji po spotkaniu z Anną Karwowską pani Anna Bieńkowska ze Szczecina zauważyła, że wiersze poetki z Dobieszewka są jak „Wolny najmita” Marii Konopnickiej:

„Wolny! - Wszak może iść albo spoczywać,
Albo kłać z zgrzytem tłumionej rozpacz,
Może oszaleć i płakać, i śpiewać
Bóg mu przebaczy...”

No tak, ale kto z młodych wie cokolwiek o Konopnickiej, a „Wolny najmita” dawno wyrzucony z programu nauczania i świadomości społecznej.

- Nie wróci tamten czas i nie o tym w wierszach Anny Karwowskiej sprawa - zauważył Zbigniew Babiarz-Zych ze Starostwa Powiatowego w Słupsku. - Anna Karwowska pisze wiersze, sprawdza magię słowa, buduje metafory. Nasze spotkanie jest w sprawie poezji i czytelnictwa. Nie będziemy zawiązywać związku obrony pegeerów. Jej wiersze dotyczą przeżywanej i widzianej przez nas rzeczywistości, ale wszyscy codziennie ją przebudowujemy. Nie ma powrotu. Natomiast rolę literatury jest zachowanie pamięci o naszym czasie, takim jaki przeżywaliśmy i o tym są wiersze pani Anny. Warto je czytać, warto czytać książki, bogatą literaturę regionalną. A jeżeli ktoś czuje potrzebę, warto pisać. Dla każdego jest miejsce w dwumiesięczniku „Powiat Słupski”. Ponadto Starostwo przyznaje twórcom stypendia na realizację zamierzeń wydawniczych.

Słyszał te zapewnienia wicestarosta Rafał Konon, potwierdzał uśmiechem, a na zakończenie kwiatami dziękował poetce z Dobieszewka za poetyckie majowe popołudnie. Niemal spontaniczne, nieplanowane wydarzenie dla wszystkich było przygodą. Pani Anna wróciła do domu, a następnego dnia od rana pracowała w ogródku. Jak to poetka.

Czesława Długoszek
Objazda

w objeździe - spotkanie z anną karwowską i historią o kózkach w tle

Spotkanie odbyło się 15 maja. Też zostałam zaproszona. Pojechałam, nie bez oporów. W końcu to dość daleko, jak na moją pewność siebie jako kierowcy. Przełamalam opory i dobrze się stało, bo spotkanie okazało się ciekawe, a i jazda była czystą przyjemnością.

Anna Karwowska swój pierwszy tomik popętniła w 2010 roku, drugi w 2014, a obecnie przygotowuje trzeci, do którego wstęp napisała Cz. Długoszek. Spotkanie zostało przygotowane w świetlicy, przy bibliotece. Kilka stolików nakrytych białymi obrusikami stworzyło świąteczny nastrój. Małe filiżanki, spodeczki, w dzbankach kawa i herbata do wyboru. Dla zaproszonej autorki przygotowano duży fotel na tle granatowej dekoracji. Ten ciemny granat skojarzył mi się z ciemnym niebem przed burzą, gdy chmury dopiero się zbierają. Myślę, że ma to odniesienie do wierszy Anny, która w swojej twórczości powraca do czasów likwidacji PGR-ów, gdy nagle bez

Promocja drugiego tomiku wierszy „Nawet ptakom zabrano nuty” Anny Karwowskiej odbyła się w Objeździe z inicjatywy Czestawy Długoszek, a została zorganizowana przez panią Małgorzatę Budnik - Żabicką, dyrektor Centrum Kultury w Uście



popętnianie wiersza w czasie wzburzenia. A że powodów emocji zawsze było sporo, więc i wiersze powstawały jeden za drugim. Anna Karwowska do wszystkiego podchodzi bardzo emocjonalnie. Likwidacja miejsca pracy, a więc rozproszenie grupy, do której należała, z którą była silnie związana, wyjazdy młodych za chlebem, zamknięcie wreszcie w domu, bo niby gdzie miała iść. Brak pracy, bo mimo przepracowania trzydziestu ośmiu lat nie czuła się na tyle zmęczona, by przejść na emeryturę. Sama w mieszkaniu, pozbawiona codziennego sensu wstawiania, przyczyniły się do powstania kolejnych wierszy, a napisała ich prawie pięćset!

Owszem przed oknem ma maleńki skrawek ogródka, pełniące funkcję rekreacyjną. Za chlewikiem, komórka też warzywnik. Z rozpędu uprawiała go, ale bez serca. Życie nabrało trochę sensu, gdy sprowadził się do niej przyjaciel. Wreszcie można było gotować obiad, bo miał kto jeść. Przyjaciel okazał się złotą rączką i wszystko pomалу doprowadzał do właściwego stanu. A wieczorem Ania zasiadała przy stole,



pracy zostały tysiące ludzi, ich rozpacz i niepewność jutra.

Skonfundowana, onieśmielona Autorka została posadzona w tym wielkim fotelu i, mimo iż nie należy do osób najdrobniejszych, to w tym fotelu praktycznie ginęła. Jednakże pani Małgosia rozumiejąca stan ducha poetki, życzliwym słowem, sprowokowaniem do wypowiedzi szybko uspokoiła zdenerwowaną i wkrótce ośmielona Ania zaczęła prezentację swoich utworów. Przypomniała kilka z pierwszego tomiku, potem z drugiego i odpowiadała na pytania.

Przez wiele lat pracowała w oborze, a w czasie urlopu na polu, bo trzeba wiedzieć, że samotnie wychowała dwójkę dzieci i starała się, by nie odczuły biedy. Toteż sama ze zdziwieniem skonstatowała, iż praktycznie to nigdy nie miała prawdziwego urlopu. Na pytanie, skąd wzięło się jej pisanie wierszy, orzekła z niezwykłą prostotą, że stało się to po wyjeździe córki z mężem do Austrii. Była tak zdenerwowana, że musiała tej złości dać upust na piśmie. Wyszedł z tego jej pierwszy wiersz i od tej chwili stało się już jej nawykiem

kartce papieru i pisała wiersz. Telewizor musiał cicho brzęczeć, bo wtedy łatwiej było znaleźć właściwe słowa.

Dowiedziawszy się o istnieniu Grupy Wtorkowych Spotkań Literackich, wysłała kilka swoich wierszy. Ich wydrukowanie na łamach „Powiatu Słupskiego” w dodatku „Więś Tworząca” dodało jej skrzydeł. Już nie musiała czekać na wzburzenie. Zaczęła się rozglądać wokół i dostrzegać nie tylko swoje troski. Dostrzegła innych, pozostawionych samym sobie, jak ona. I ci ludzie stali się bohaterami jej wierszy.

Dobieszewko to niewielka wieś położona w środku rozległych pól. Kiedy wybrałam się tam z misją w kwietniu jawiła mi się ta wieś jak oaza na pustyni - pola, szare ledwie zieleńjące się zasiewy i grupa domków - kilka jednorodzinnych starannie ogrodzonych i trzy bloki z wielkiej płyty stojące jak gdyby na ziemi niczyjej, wybudowane w czasach działalności PGR-u. Za kępą drzew resztki jakiejś dużej budowli. Droga licha, że w samochodzie czułam się jak na wozie drabiniastym z kołami na metalowych obręczach.

Ten nastrój, wspomnienie mojej wyprawy do Dobieszewka, wywołało monotonne czytanie wierszy w tym samym patetycznym tonie, a według mnie zupełnie nieprzystającym do tematyki, przynajmniej kilku utworów. Może należało komuś innemu pozwolić na czytanie tych wierszy, komuś kto wydobylby również weselsze akcenty opisywanej rzeczywistości. Wszak były tam utwory poświęcone odradzającej się przyrodzie, opisujące piękno zwyczajnych zjawisk, które mogą zachwycić człowieka wrażliwego, a który nie zawsze może dostrzec w czymś zwyczajnym urok?

Ten minorowy nastrój przerwała anegdota. Otóż pani Ania nie ma komputera i pisze wiersze w zeszytach, a potem daje do przepisania zaprzyjaźnionej osobie. Teraz, gdy należałoby utwory zebrać i dać do druku, potrzebny jest paluszek przenośnej pamięci, na którym umieści się wiersze. Polecono więc zakup takiego elementu. Autorka wybrała się do sklepu komputerowego i tam dowiedziała się, że to nazywa się pendrive, czyli „pen drajw”, ale musi iść do innego sklepu. Sprzedawca uprzejmie wytłumaczył, jak dojść. Zadowolona, że wszystko wie, pośpieszyła. Żeby nie zapomnieć słowa, powtarzała nazwę na zasadzie skojarzenia - pędrak (skąd ja to znam - zapamiętać na zasadzie skojarzeń!). Jednakże kiedy doszła do wskazanego sklepu i poczekała w kolejce, wyleciała jej część nazwy z głowy. Zapytana zniecierpliwiona przez sprzedawcę podała: „Proszę takie coś, - pędrak albo krewetka, no do komputera! - Wiedziała, że coś pokręciła, no ale się stało. Pan za ladą na chwilę wybałuszył oczy i wreszcie parsknął śmiechem. Śmiechem wybuchli też inni klienci sklepu. Skonfundowana Ania już całkiem straciła rezon, ale sprzedawca w porę się opanował i zapytał:

- A jaki to ma być ... - po chwili dodał - pędrak?

- A jakie macie?

- No, czerwone, niebieskie, czarne,...

- To ja proszę o czarny i czerwony. - Szybko zapłaciła i wyszła ze sklepu. Rozbawiła wszystkich, ale załatwiła ten pendrive.

Swego czasu też kupowałam pendrive i zapominałam nazwy, ale poprosiłam o paluszek. Sprzedawca powiedział, że mi paluszka nie odda, bo mu jest potrzebny. Też się uśmialiśmy.

Anegdotą zakończyła pani Anna prezentację swoich utworów i głos zabrał szef Wtorkowych Spotkań Literackich pan Z. Babiarz-Zych. Przypomniał, że w Objęździe był duży kombinat PGR, zatem Objazda ta także kiedyś wieś pegeerowska i obecność poetki Karwowskiej była tu jak najbardziej uzasadniona. Wręczył bohaterce spotkania Podziękowanie od starosty słupskiego za drugi tomik wierszy. Zastępca starosty, pan Rafał Konon w imieniu swoim i starosty przekazał piękny bukiet kwiatów. Całość obfotografował nieoceniony pan Jan Maziejuk.

Anna Karwowska przywozła ze sobą kilkanaście tomików drugiego wydania i każdy mógł sobie wziąć i nawet poprosić o autograf. Myślę, że sprawiło to autorce szczególną przyjemność.

Sądziłam, że to już koniec spotkania i pojedę do domu. Ale tak jakoś wyszło spontanicznie, że zatrzymaliśmy się

u Czesi w domu. Dojechał pan Guit i doszła spora grupa zaprzyjaźnionych z gospodarzami osób. Zasiadliśmy w Czeskiej kuchni do herbaty i pysznego sernika, który niestety został pochłonięty w całości. Był pyszny!

Gospodyni podała herbatę i przeprosiła towarzystwo, bo musiała zająć się kózkami, dać im owsa, nakosić specjalnej mieszanki, wydoić, dopilnować, by maleństwo się najadło. Bo to nie są te znane, białe kozy zadowolające się byle czym, to pieszczochy brązowe z białymi znamionami na zadku. Tylko jedna jest brązowo-siwa.

W zagrodzie są dwie kozy i cztery młode - trzy dumne rogate koziołki i jedna mała kózka. Trzeba wiedzieć, że ta kózka przeżyła przyjsięcie na świat i żyje do tej pory dzięki uporowi gospodarzy. Urodziła się jako druga i nie dawała oznak życia. Desperackie nacieranie, masowanie przywróciło ją do życia. Ale to nie był koniec kłopotów. Matka zdecydowanie nie chciała dopuścić jej do cycka. Ale gospodarze nie pozwolili jej umrzeć. Zmusili kozę - matkę do karmienia młodej: jedno trzymało matkę, a drugie małą przy cycku. I tak, rada nie rada, musiała podzielić się pokarmem z tą odrzuconą!

Historia opowiedziana przez Czesię wywołała różne reakcje zgromadzonego towarzystwa. Część wyraziła chęć

nawiedzenia tychmiastowego odwiedzenia kóz i - chyba pomocy, a część przy stole rozwijała temat kóz i ich roli w życiu dawnego społeczeństwa, a także o zwycięskim powrocie do łask, gdy okazało się, że kozie mleko ma zbliżone składniki do mleka ludzkiego.

Kozy to symbol biedy, toteż, gdy ktoś zaproponował zajęcie się hodowlą kóz, spotykało się to z oburzeniem. A przecież kozie mleko jest idealne dla dzieci ze skazą białkową. Kozy są pożyteczne, zjedzą wszystko, co się im poda, nie wybrzydząc. Swego czasu w rodzinnej miejscowości mojej babci kozy czyściły strzechy, gdy zaczęły one porastać mchami i chwastami. Widok kozy na dachu nikogo nie wprowadzał w osłupienie. Pan Guit wspominał, że ich wielką zaniebaną, porośniętą niechcianymi chwastami działkę, właśnie oczyściły kozy, zakupione na tę okoliczność. Niestety, skończyły tragicznie zagryzione przez psy, które

uczyły się polować. Dawniej przy wojskowych stajniach trzymano capy, których zapach ponoć skutecznie odstraszał szczury i inne gryzonie.

Od praktycznych walorów hodowania kóz przeszliśmy do ich obecności w literaturze i filmie. Chadziukowa, bohaterka filmu „Ranczo” wzbogaciła się dzięki produktom z koziego mleka. Bohater Makuszyńskiego Koziołek Matołek to postać znana wszystkim. No i przysłowia: „Raz kozie śmierć”, „Żeby kózka nie skakała,...” „Ze mnie to, ...jak z koziej... trąba”, „Przyszła koza do woza”.

I w tym momencie uprzytomniłam sobie, że jako kierowca... muszę jechać do domu, by zdążyć przed zachodem. Z żalem pożegnałam się z Objazdą.

Teresa Nowak, Łupawa



Życie jest Zabawą

- Łap się pani za jaja!
On to lubi! - J rechot.
- O mamuniu. Polacy!
- Pomyślałam. Ale też
szybkim ruchem dotknę-
łam byczego przyrodze-
nia. Szczęściu przecież
trzeba pomagać. Pocz-
tałam tylko, że zaczerwie-
niłam się jak dzierlatka



Być w Nowym Jorku i nie wstąpić na Wall Street... To niemożliwe - kategoriycznie stwierdził Kazik i rozpoczął przygotowania do tej wycieczki. Mieszkaliśmy na Górnym Manhattanie i praktycznie od tej ulicy oddzielała nas cała wyspa. Subway'em trzeba było przejechać pod ziemią całą wyspę. I jeszcze tam przejść kilka przecznic. Toteż przez kilka godzin mąż uważnie studiował mapę. A i tak podchodziłam do tego sceptycznie, nie wierząc w jego umiejętności poruszania się z mapą.

Na szczęście córka wygospodarowała krótszy dzień pracy i mogliśmy spod muzeum pojechać w okolice tej mitycznej ulicy. To się nazywa Financial District. Tu też przyjeżdżają wycieczki i tłum ludzi przewala się od wczesnego rana do późnych godzin wieczornych. Tu zaczął się Wielki Kryzys lat trzydziestych. Tu też rodziły się i upadały wielkie fortuny.

Tak więc być tu, to otrzeć się o wielkie pieniądze i wielkie upadki. Tu wszystko może się zdarzyć. Tak przynajmniej myślimy, jadąc kolejką. Wsiadamy na Chambers ST i idziemy na miejsce, gdzie kiedyś stały WTC. Plac ogrodzony jest wysokim murem, skrzętnie skrywającym to, co zostało po tych wieżach. Idziemy obok ściany pamięci. Mnóstwo tu kwiatów i palących się zniczy. Na ścianie fotografie tych, co zginęli w zamachu i podczas akcji ratunkowej. Sporo zwiedzających, ale panuje cisza. Wolno przesuwa się wycieczka. Nawet przewodnik nic nie mówi.

W milczeniu idziemy dalej, za wycieczką. To Koreańscy. Dobiegają do nas wreszcie słowa, taki raczej świergot, miękko-gardłowy. Wyprzedzamy ich. Po kilku kolejnych przecznicach dochodzimy do District. To dzielnica wąskich ulic i wysokich budowli. Słońce praktycznie nie dociera do ulicy. Zakaz ruchu kołowego. Co kilkanaście metrów stoją mosiężne słupy. A przecież są tu sklepy, więc i zaopatrzenie musi jakoś funkcjonować. Okazuje się, że wszystko odbywa się pod ziemią. Jest specjalna linia kolejki dla zaopatrzenia licznych biur i sklepów, zapewniająca również dotarcie do pracy. Stacje przeważnie znajdują się pod budynkami, więc wielu pracowników zjeżdża windą nie wychodząc na powierzchnię.

Kazik rozgląda się z wielkim zainteresowaniem i ciągle o coś pyta. Biedna Ala nie posiada takiej wiedzy, żeby zaspokoić ciekawość. Ale nie byłaby sobą, gdyby nie umiała sobie poradzić. Zaczepia każdego, kto mógłby udzielić jakiegś. O dziwo - w rankingu na najlepiej poinformowanych zdecydowanie wygrywają portierzy, sterczący przed wejściem do budynków. To nie tylko portierzy, to ochroniarze. Nie wpuszczą nikogo bez specjalnej przepustki.

Wreszcie jesteśmy na samiotkiej Wall Street. Ależ to nędzna, krótka ulica. Nie do wiary, że takie coś znane jest na całym świecie. Tu nawet Japończycy nie bardzo kwapią się do fotografowania, chyba, że przy znaku z napisem Wall Street.

Idziemy dalej w kierunku kłębiącego się tłumu. Co to może być? Już z daleka

dochodzą nas gromkie wybuchy śmiechu. No tak, to wielki byk z mosiądzu. Kłębi się wokół niego tłum wycieczkowiczów: Azjaci, Europejczycy, ludzie rozmaitych nacji. Piski, krzyki z wybuchami śmiechu i fotografowanie, co nie jest łatwe, gdyż w kadrze ciągle ktoś się pojawia i ze słowami „sorry” szybko usuwa się.

Po kilku minutach ten tłok trochę się rozładował. Szybko wciskamy się do tego byka. Potężny, błyszczący, butny, na szeroko rozstawionych nogach. W sumie piękny na swój sposób. Fotografujemy się, obchodząc zwierzę dookoła i łapiąc każdą okazję, że w kadrze nie ma obcych. Skądś dochodzi głoś, po polsku:

- Łap się pani za jaja! On to lubi! - I rechot.

- O mamuniu. Polacy! - Pomyślałam. Ale też szybkim ruchem dotknęłam byczego przyrodzenia. Szczęściu przecież trzeba pomagać. Poczułam tylko, że zaczerwieniłam się jak dzierlatka. Mąż też pogłaskał je, w końcu dołączyła i córka. A co tam!

Z boku stoi grupa młodych ludzi i zaśmiewa się. Nie straciłam animuszu:

- Nie wiem, czy ja to lubię! - Odezwałam się po polsku.

Teraz oni stracili rezon. Pewnie nie spodziewali się, że ich żartobliwe odzywki akurat ktoś zrozumie. Rzucili się ku nam hurmem. To studenci z Polski, z Politechniki Szczecińskiej. Przylecieli na praktyki i właśnie wykorzystują okazję, by zwiedzić NYC. Chwilę pogadaliśmy. Wyjaśnili, że pogłaskanie byka po przyrodzeniu przynosi szczęście. I dlatego wszyscy, którzy się tu znajdują oblegają ten symbol prosperity amerykańskiej. Ala zaprosiła ich do Museum i rozeszliśmy się. Oni w kierunku WTC, my do sanktuarium Rockefellera, a dalej do Chinatown. I znowu tłum ludzi oblega wielki mosiężny pomnik ojca sieci banków. My też staramy się do niego dotrzeć.

Jesteśmy przy pomniku Rockefellera. Fotografujemy się namiętnie na tle legendy banków. Może coś z geniusza finansowego spadnie na nas?

NYC- tygiel nacji. Marzenie wszystkich pucybutów. Ale tak naprawdę miasto, gdzie pracuje się, uczy i żyje bardzo intensywnie. Każdy marzy o etacie, stałych godzinach pracy. Ale nim to marzenie się ziści, każda praca się liczy - za 5,10,15 dolarów, na godzinę, dwie, trzy, czy jeden dzień. Wielu dźwiga ze sobą laptop, komórki są zawsze w ręku, bo w każdej chwili może się znaleźć jakaś praca. W parkach, w kafejkach Sturbacks, przysiadają odpalają komputer i po chwili już gdzieś się spieszą. Ala mówi, że właśnie złapali jakąś fuchę. Sama też pracuje na etacie w Museum, robi projekty marketingowe przez Internet i jeszcze od czasu do czasu chwyta godziny opiekunki do dziecka.

A teraz do Chinatown. To enklawa Chińczyków i atmosfera niezwykła. Na wejściu wita nas smok z otwartą paszczą. Tuż za tym wejściem sklepiki - jeden przy drugim. Chodniki skryte pod markizami osłaniającymi przed słońcem. Wąskie uliczki i tłumy, między którymi przeciskają się nieśmiało samochody w tempie pieszego. Na skraju chodnika stoją naganiacze i kierują, a właściwie zapraszają do ciasnego sklepiku, wyładowanego towarem w takich ilościach, że czasami nie widać drobnego sprzedawcy. Przekrzykując się i łapiąc za rękę przechodniów, usilnie kierując ich do środka. Przechodnie oganiają się cierpliwie i przedzierają, omijają. Co mniej odporni dają się skierować do sklepu. A tam wpadają w ręce sprzedawcy, który nachalnie wciska jakiś towar. Jeśli nie to, to może tamto i w jego rękach błyskawicznie pojawia się coś nowego. Co mniej odporny - kupi, bo trudno się wyrwać. Toteż szybko nauczyliśmy się wyślizgiwać naganiaczom i szerokim łukiem omijać wejścia.

Ulica jest bajecznie kolorowa. Wszędzie smoki i chińskie znaki. Mnóstwo mrugających neonów. Co kilkanaście metrów miniaturowe restauracyjki, dwu-, trzy i czterostolikowe.

Zapachy niesamowite, ale nie ryzykujemy wejścia do takiej knajpki. Wiemy, że to naród wszytkožerny i kto wie, czy nie podadzą dania z psa, szczura lub innego stworzenia nie jadanego przez Europejczyka. W miarę posuwania się w tym tłumie opuszcza nas fascynacja. Jest kolorowo, jest głośno i tłocznie i bardzo tandetnie. Ala mówi, że jeśli ktoś chce kupić coś interesującego i prawdziwie chińskiego musi iść na obrzeża tej dzielnicy i zajrzeć do zakładu rzemieślniczego. Tam wykonuje się rzeczy na zamówienie i czasami można dostać coś oryginalnego.



Jesteśmy zmęczeni. Poza dziwną herbatą nic nie kupujemy. Wracamy. Do kolejki. Z ulgą opadamy na siedzenia. Na jednej ze stacji wsiada do wagonu grupa czarnych młodych ludzi. Mają taborety i bębny. Błyskawicznie zaczynają grać. Nawet jest to przyjemne. Kolejno pasażerowie wrzucają do koszyka po jednym dolarze. Dojeżdżamy do przystanku, młodzi szybko przenoszą się do następnego wagonu. Powtórka. Potrafią tak jeździć cały dzień, bo wystarczy raz skasować bilet i póki nie wyjdiesz poza bramkę, możesz jeździć do woli. Młodzi artyści - nie tylko z bębnami, czasem z gitarami, czasem pokazując niezwykle akrobacje, czasem ze śpiewem zarabiają na swoje potrzeby. I to nie jest żebranina. Oni pracują i za swój występ chcą tylko dolara. Myślę, że to uczciwie.

W dzielnicy willowej na Astorii dzieciaki w wieku siedmiu - ośmiu lat sprzedają na chodniku lemoniadę własnej roboty, czyli sok z wyciśniętych cytryn. Starsze robią z koralików cudenka i też sprzedają. Uczą się od najmłodszych lat radzić sobie, bo pieniądze są, gdy jest praca. Ale nic nie jest pewne. Trochę już wiemy na ten temat i w Polsce.

I tak minął kolejny dzień. (cdn)

Teresa Nowak, Łupawa

wiersze najnowsze

Emilia Maraškiewicz, Dartowo

SOBÓTKA

klejnoty ognisk
księżycowy srebrny pył
aż do bram brzasku

łąka nad rzeką
dzwoni perlistym śmiechem
zakochanych par

na rwącym nurcie
plejada wonnych wianków
mruga blaskiem świec

skrzypek tka melodię
szczęście trzeba rwać
jak świeże wiśnie...

chłopiec z dziewczyną
kołyszą się w rytm tanga
stojąc w miejscu

pocałunek ptak
zlatuje na włosy blond
siedzi przez dwa dni

Jan Stanisław Smalewski, Ustka

O KOCHANCE BRZozIE

Pośród wszystkich drzew
jak kochanka pośród wszystkich kobiet
ty jesteś brzoza

Unika cię jemiola
jesteś dla niej za delikatna
Wiatr przyciągasz tylko po to by cię głaskał
burzy nakazujesz obejść bokiem

O biała moja w serdecznych rozbłyskach
cioteczna siostrzo wierzyby -
jakże od niej słodsza jakże mniej płacziwa
- lubię mieć cię przy sobie
w obrazie lub wierszu

Lubię kiedy szepczesz do mnie bielą kolan
I gdy mnie zamykasz w swych ramion uścisku

O biała moja w słonecznych rozbłyskach
brzoza serdeczna falująca cieniem
kocham twą pieśczętę życzliwą dla ptaków
i dla mnie wędrowca tak miłosną drzeniem

Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Słupsk

OCZY KOBIEt SAMOTNYCH

Oczy kobiet samotnych są jak rozległe łąki
Ciągające się bez końca aż po horyzont
W tych oczach tańczą czasem polarne zorze
Lub mami fata morgana
To tylko odbicia dawnych obrazów
Rozświetlone dawnym słońcem
Muśnięte radością i uśmiechem
Jak dzieło wspaniałego mistrza malarza
Oczy kobiet samotnych to głębie bez dna
Za czarnymi zasłonami rzęs
Los dawno utopił w nich kamienie miłości
Oczy kobiet samotnych czasami się uśmiechają
Ale na ich dnię czai się smutek...
Małeńka iskierka nadziei i niemy krzyk
oczekiwania

O KSIĘŻNICZCE OD KICIA

Widziałem księżniczkę z togą - ale kicia!
Szła przez podwórze W bramie kwiaciarka
róże sprzedawała Wiosna wisiła w powietrzu
na przelotnej chmurze

Promień słońca całował jej dekolt wyblakły
i buzię szlachetną jak tulipany papuzie

Księżniczka z togą niosła pod pachą
księgę prawości Pęczniały w papier spowite
tłuste paragrafy
Księżniczka Litery Prawa i Prawości
jej nagości dawno nie widziało słońce

Jak kwiaciarka w bramie - bawiąc się
kwiatkiem -
pomyślałem ukradkiem ja Księżę Nieprawy
o własnej aplikacji

Kici kici Księżniczko od kicia
Chcę otrzymać wyrok: Z tobą do końca życia

Małgorzata Beskosta (Rządowska), Słupsk

KARA

Po co mi jesteś słaby człowieku,
czy jesteś tylko mym drogowskazem?
Czy jest ci mało, serce kalekie
kopać i deptać za każdym razem?

Gdzie jest ten Bóg, co okiem łaskawym
patrzy na drogę swych podopiecznych,
zamiast ten pochód czynić bezkruawym,
za kres mi daje raj konań wiecznych?

Czymże jest człowiek - tylko ofiarą?
Pionkiem na planszy, którego zadaniem
jest w kolejności z uśmiechniętą wiarą
graczy zachwycać własnym konaniem?

Czy według reguł człowiek umiera?
Według tych zasad okrutnego losu?
Jeśli ma umrzeć, niech chociaż wybiera,
miejsce i czas, i dogodny sposób!

Ja mogę umrzeć śmiercią wartą grosze,
poddawać się wciąż kaprysom Twej złości,
umierać setki razy, cierpieć, tylko proszę
- nie każ mi umierać z miłości...

Emilia Zimnicka, Izbica

MOJA WIEŚ

moja wieś w wianku lasów
w przepasce miedz żniwnych
cicha, zgaszona w zimie
wesola złotym latem
wzorzystą jesienią
dziecięcym szczebiotem głosi
skłóconemu światu
odwieczny sens wszechbytu
ludzkiego istnienia

ZACHÓD

Zachód słońca nad jeziorem
Łebsko
Słońce się stacza za fale jeziora
Zda się zakipi srebrne lustro wody
Zorzą je barwi złociście-czerwona
Welonem rosy do wioski się zbliża
Pachną olchą ciszą wieczoru
W trzcinach zakwilił jakiś ptak
Zdziwiony
Pies się przeciągnął i ziewnął przy
Budzie
Świat objął czar zachodu
W cud feerii kolorów
Nadjeziorny, najpiękniejszy krajobraz
Pogody
Nim ludzie zasną letnim dniem zmęczeni
Niech spojrzą jeszcze na jeziora wodę
Sen im się przyśni dobry i uroczy
Otuli ich mgła sierpniowej nocy
Pełna tajemnic, szeptów, westchnień,
wspomnień

Agnieszka Klekociuk, Możdżanowo

z których korzeni wyrosłam
z których wiar jestem
w tych odłatkach płomieni
w miłościach też tworzę
inne urodzaje

z drzew opadłe liście
obumierają w ciszy
i tak po cichu
patrzę w oczy twe
w tych płonach
inny urodzaj
z pierwszych jabłoni
rajskich ogrodów
w polskich majestatach
białych ortów
w siarkowej przestrzeni
tylko raz wbije
z jego szponów
sprawiedliwość pomiędzy ludźmi
w archaniele wejrzą
z miecza jego w koronie
odnajdę płomienie
innych isker
z nim zatańczę
w dźwięku orła powstanę
z innych okoliczności
Polska zapłacze
Żywymi łzami
W niemieckich ziemiach
Żydowskich korzeni

Ireneusz Borkowski, Słupsk

Widzę inaczej?
Brudne zasmarkane dzieci
bawiące się przy klatkach schodowych,
ulice zaśmiecone a bloki zaniedbane od lat.
Miasto nie ma pieniędzy, by zaglądać głęboko
do świata ubogich i samotnych.
Ich już nazwali: patologia, brudasy i pijacy
Ale czy na pewno? Są tam dzieci,
starszankowie i chorzy
opuszczeni przez rodziny.
A przecież dzieci nie piją,
starszankowie walczyli niegdyś za nasz
lepszy kraj, opuszczeni zostali ci, co już
nikomu nic nie dadzą,
są dziś biedni, ktoś wyszał z nich ostatni grosz
i opuścił. Nie są nikomu potrzebni.
Widzę inaczej?
Jesteśmy w nowoczesnej Europie
A ci ludzie tu są z nami,
Czekają na nas, na naszą pomocną dłoń.

Bogusława Skomoroko, Słupsk

SŁUPSKI ZAMEK

Lubię na niego patrzeć
Podziwiam potężne
szare mury wiekowego gniazda
książąt - władców
siedzib i ludzkich losów.
Duchy przeszłości zapraszają
- więc wchodzę i dotykam historii.

Kamienne echo kroków
ożywia pamięć.
Widzę aksamitne draperie,
blask świec w mosiężnych
kandelabrach,
delikatne kroki dam.
Słyszę dźwięk lutni,
czyjś śmiech...
Skrzypi pociemniały parkiet
- jakieś szepty?
Nieme ściany komnat
ścigają mnie
zagadkowym spojrzeniem
minionych epok.
Wychodzę w światło.
Z zamkowej wieży wylatuje gołąb.
Przysiada u stóp Bogusława.
Czyżby się uśmiechał?

Elżbieta Staszewska, Słupsk

PRZESZŁOŚĆ

Przeszłość - umykające dzisiaj
w zabaw tłumie odkładane szczęście,
zbudowała przystań wczoraj,
w pracy nad dobra muśnięciem.

Przeszłość - ucieczka ulubiona
w zapiskach mądrości i szczęścia,
została przeszłość uchroniona,
w pomieszaniu dobra i nieszczęścia.

Przeszłość - zapamiętana przestroga
w smutkach swoich schowana,
została przeszłości odnoga,
czasem tylko wspomинana.

Przeszłość - czar niebывały
w odległym wspomnień wzdychaniu,
jest drogowskazem wybijałym,
w pięknych marzeń spełnianiu.

Anna Karwowska, Dobieszewko

WYROK BOŻY

Często przez okno patrzę ciekawie
jak wieś zmienia swe barwy
jak motyle miód piją z kielichów
i pola kwitną kłosami.
Moje życie to prawie ruina
jutro do mnie już nie należy
nie łapię zdobyczy ni słów
napój życia wszystko odpycha
i pomatu usuwa mnie w cień.
Apelacji składać nie będę
muszę zgodzić się z wyrokiem bożym
i cicho siedzieć - niby
pod ojca okiem.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

CZEKAM NA CIEBIE

gdy przyjedziesz
do mnie
zamknę cię w uścisku
moich marzeń
napoję potokiem
naszej rozkoszy
miłość rozbłyśnie
jak światła wstanie
jak poranna jutrzienka

język pić będzie eliksir miłości
usta zamknięte pocałunkiem
wyszepczą dwa słowa
kocham cię
czekam - tylko przyjdź

Gdy kiedyś
będę musiał odejść
nie odejdę bez pożegnania
z tobą
bo nawet ptaki odlatując
machają nam skrzydłami

tam dokąd pójdę czas jest inny
a telefonów nie ma
listu też nie napiszę
bo poczty nie ma

przed odejściem go zostawię
dla ciebie wnuczkę
z pieczęcią i podpisem
Notariatu bo będzie to
dla ciebie dziecino
mój testament

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

Skok w nowoczesność
nie dla mnie
zgubiłam się
w ziemskim kosmosie.
Odziana w mgłę
niczym suknię
czasem gubię
cień na drodze.
Potrzebuję transfuzji
Życiodajnej krwi.
Żby czas nie chce
mnie ominąć
siedzi jak grzyb w koszu.
Doli swej koniem
nie objadę.

Oba wymienione kolory wzajemnie się znoszą. Życie jest pomiędzy, w środku. Natomiast ów „środek” rozległe nieskończony. Na zadawane przez dziennikarzy pytania: „Czym się pan zajmuje”, Gombrowicz odpowiadał: „Ograniczę się do stwierdzenia, że życie nie jest sprawą tak łatwą, jak to się wydaje gazetom i, co za tym idzie, nie jest, ani też nie może być łatwa literatura, która chce czerpać swoją treść nie z popularnych sloganów, ale z ostrego i głębokiego dramatu egzystencji”. Mniemam, iż „każdy stan (nawet zbliżenie) skupienia oplata pajęczyną, określaną przez „krytyków” stanów, jako „fantazmatowanie”. Roztrząsany jest tzw. stan dziwnego zawieszenia u człowieka - między jawą a snem tuż, tuż przed zaśnięciem. Wyniki tychże dociekań puentuje się jako marzenia przedsenne, jako swoistą „drzemkę na jawie”, jako moment przejścia „od - do”, kiedy sądzimy, że jeszcze nie śpimy, ale czasem zauważamy też, że zaczyna już nami rządzić jakaś inna logika - może senna (?)”.

W jednym z opowiadań Witolda Gombrowicza, w „Tancerzu mecenasa Kraykowskiego” narrator opisuje ów stan jako: „czujności i wzmożonej działalności, która nie pozwala zasnąć, a jednocześnie wskutek uporczywego kręcenia się w kółko, jest jakby drugim snem na jawie”. Oczywiście, krytyka literacka spieszenie szufladkuje takie „stany oderwania”, pisząc, iż opowiadania Gombrowicza („Pamiętnik”) mają „podobieństwo do snu”. Sam autor w zaniechanej przedmowie do „Pamiętnika” objaśnia: „Cykl wspomnień „5 minut przed zaśnięciem” zawiera parę obrazów, które mnie nawiedzały w latach młodości - w momencie zasypiania, a może nawet już we śnie”.

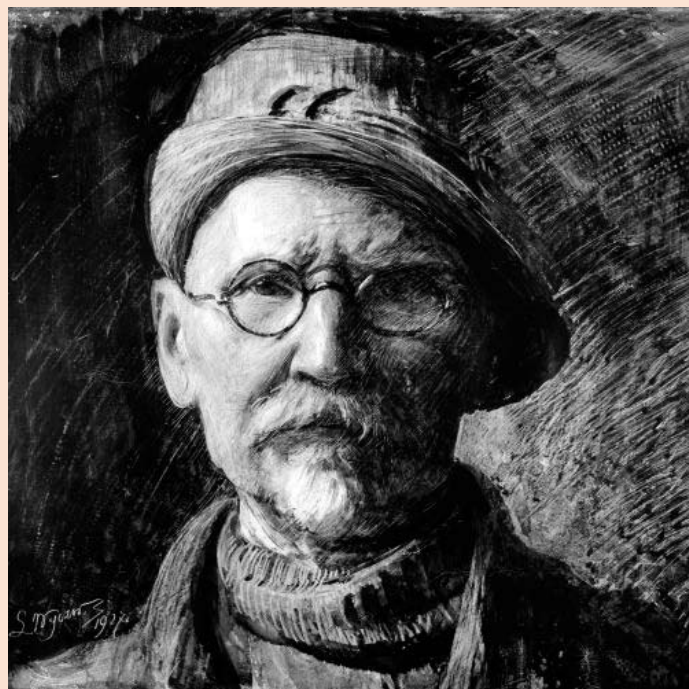
Maria Janion dodaje: „Znacznie później Gombrowicz nadał wydarzeniom dziejącym się w nas w stanie owego tranzytu w jakąś inną rzeczywistość wykładnię dużo bardziej uniwersalną. Napisał mianowicie, że dostał się kiedyś podczas rekonwalescencji w odosobnionym dworze „w nieznane dotąd okolice ducha, „że noce i dnie utkane ze snu i jawy, przeżyte” jakby na progu jakiegoś okropnego wtajemniczenia, „miały decydujący wpływ na jego życie psychiczne”. Zetknęły mnie one z Tajemnicą, z Maską, ukazały potęgę znaczeń ukrytych, wyrwały ze zwykłego osadzenia w codzienności, aby wtrącić w patos, w dramat naszej prawdziwej sytuacji w świecie. Te prawie sennie rewelacje objawiły mi język sybilityczny a potężny, do którego nieraz starałem się sięgać w moich późniejszych utworach artystycznych.”

Nadmienię, iż Witold Gombrowicz, jako pisarz znalazł się w kręgu zainteresowań, wspomnianego wcześniej, Witkacego, którego później poznał osobiście. Witkacy, na swoich obrazach otaczał obwódką inicjały „leku”, swoistego marzenia sennego (dopisek autora), który „oddziaływał” podczas tworzenia dzieła i pod którego wpływem, w tym czasie pozostawał. Dla artysty, w jego świadomości, nie było to bez znaczenia. Nie odrzucał fazy stanu dysharmonicznej równowagi ciała i ducha, jako całości do ulotności tworzenia. Tego rodzaju, który nazywał Gombrowicz, jako moment przejścia „od - do”.

Sybilitczne impresje

Przyjąłem kolejne zaproszenie, to z rodzaju „okazji” okrąglących rocznic istnienia oraz nadania imienia, w tym przypadku Jana Pawła II. Była to szkoła pod Bydgoszczą (blisko 700 uczniów). Uroczystość trwała dwa dni. W dniu drugim zachęcono mnie do skorzystania z bezpłatnej formy nocnego zwiedzania otwartych muzeów. Jako, że impreza w szkole, przedłużyła się do późnych godzin wieczornych, pomimo znużenia, propozycję przyjąłem. Środkiem lokomocji udaliśmy się do centrum miasta, gdyż tam (muzea na wyspie), nad Brdą, znajdują się najbardziej skoncentrowane zbiory muzealne z różnych dziedzin działalności człowieka w minionych

okresach i to nie tylko o zasięgu regionalnym, ale, i światowym. W ten sposób „Europejska Noc Muzeów” zawitała również tu, a ja w niej! Oczywiście, nie byłem sam. Wokół mnóstwo dzieci, młodzieży oraz starszych osób. Na zewnątrz - budki z watą na patyku pośród starożytnych i średniowiecznych szafasów, zbrojnych rycerzy, dziewcząt ubranych w zgrzebne szatki, a w środku tłumy zwiedzających oraz elokwentnych osób objaśniających i uatrakcyjniających zwiedzanie. Bogate, interesujące zbiory! Żeby to zgłębić, trzeba rzeczywiście było być wypoczętym i rześkim. Spory tłok i... duchota ostudziła, a właściwie przegrzała moje fisis. Dział zbiorów archeologicznych wyczerpał moje możliwości. Wyszedłem na zewnątrz zaczerpnąć powietrza. Widząc, że dochodzę do siebie, jedna z towarzyszących mi osób, szepnęła do ucha: „Warto jeszcze zajrzeć do Domu Leona Wyczółkowskiego - jest tu, w zasięgu wzroku”.



Wyczółkowski - dla znawców - „Wyczół” (tak też podpisywał swe dzieła) lub bardziej ciepło, dla przyjaciół - „Wyczółtek”, to dla mnie artysta szczególny, więc warto było skorzystać z okazji, aby go bliżej poznać. Dlatego, pomimo osłabienia, nie odmówiłem; podreptałem w kierunku jego domu. Zaganiany egzystencjalnie do późnych lat zawodowych, wcześniej nie miałem wiele okazji, mimo zainteresowań, podążać śladami ciekawych osobowości. Teraz, kiedy kuranty wybijały godzinę zero, w narastającej kakofonii burzowych dźwięków i rozjaśniających błyskawic, przeniknąłem do wnętrza. Wewnątrz również spory ścisk i zaduch, ale jakoś można było wytrzymać. Zwiedzałem do końca i w miarę dokładnie. Zbiory po artyście - wspaniałe. Podobnie, jak to było w przypadku reżysera Lecha Majewskiego - jego doznań, kiedy stał przed obrazami Petera Breugela, patrząc na dzieła „Wyczółka”, hipnotyzowały mnie swą żywą wyrazistością szczegółów i mocą sugestii, jednocześnie świeżością formy, jakby drgały jeszcze śladem ruchów ręki Mistrza. Natura, pejzaże, obiekty martwe, statyczne, a przede wszystkim - portrety. Oczy, jako wyraz duszy, głębi osobowości, „ciepłe”, a jednocześnie wyraziste, przenikliwe - jak żywe, z proporcjonalnym nastrojowo podkreśleniem tzw. otoczki obiektu, tej bezpośredniej oraz w tle. Po artyście pozostał warsztat: maszyna i narzędzia (narzędzia) - tak je nazywał, pamiątki osobiste oraz wspomnienia jemu współczesnych. Za oknami Domu pulsująca jasność burzy przenikała poprzez blask świecących latarni. Wraz z oddalającymi się pomrukami nawałnicy opuszczałem zakątek

„Wyczółka”, a także z nabytkiem „pamięci” o malarzu i grafiku, udałem się na czasowy spoczynek. Brda, którą przyrównywałem do rzeki swego dzieciństwa - Wieprz, oddychała świeżością, soczystą zielenią. Tak naturalnie pachniało majem, kwiatami wiosny i renesansem życia. Być może zmęczenie naddawało koloratury stanów „fizykalno-duchowych”, „gombrowiczowskiego” zawieszenia „od - do”, w rodzaju filmowego scalania „czasobytu”.

Tuż przed zaśnięciem przesuwają się pod opadającymi powiekami, bardzo swojskie, wersy Mistrza Leona: „Wieprz. Ojczyzna karpi, które miały po 200 lat i wyglądały jak butelka omszała... Ojczyzna jaskółek nadbrzeżnych, grzebałek. W młodości spałem często w lecie w brogu. Rano cały horyzont zastąpiony był mgłami”.

Ścieżki do źródeł. Mistyka i Mistrz

Moja egzystencjalna droga nie była usłana różami. Zastępowały je brogi, tułaczka, bosa nogi, „bez-portki”, dziecięca zapobiegliwość i praca. Pokolenie trudnych, często dramatycznych wyborów. Tuż powojenny okres ograniczonych możliwości, niedostatku, nierazadko głodu i zniechęcenia. Egzystencjalna gonitwa. Teraz, kiedy ma się więcej czasu do tzw. własnej dyspozycji, znacząco ubywa sił. Trudno jest porównywać współczesne warunki zmagania do tych z okresów wcześniejszych pokoleń. Zwłaszcza z tym, w którym przyszło żyć i pracować pokoleniom czasu Wyczółkowskiego.

Leon Wyczółkowski urodził się w 1852 roku, kiedy Polski nie było na mapach Europy. Herb Wyczółkowskich, jak herb Krasieńskich - podkowa z krukiem >>Ślepowron<<. Dodam, iż kilka miesięcy temu, na zaproszenie Muzeum Romantyzmu - Muzeum Biblioteki Poezji Polskiej w Opinogórze, gdzie znajdują się i moje poetyckie tomiki, miałem przyjemność poznać zadbaną byłą posiadłość rodu Krasieńskich, jednocześnie serdecznie ugoszczony niechętnie opuszczając uroczę tereny okolic Ciechanowa. Jolanta Baziak, autorka świetnej książki (wydanej w języku polskim i angielskim) „Leon Wyczółkowski - kolejne życie”, pisze: „Polaków ciężko doświadczać losy historii. Wyczółkowski już jako jedenastoletni chłopak jest przerażonym obserwatorem epizodów związanych z powstaniem styczniowym. Wrażliwym świadkiem pozostaje do końca swojego życia”. Twórczo niezwykle płodny, a w wielu dziedzinach sztuki, rewolucyjny, niespokojny okres nowych poszukiwań. J. Baziak: „Dojrzewają zarodki przyszłego nihilizmu i dekonstrukcji. Kontrapropozycją jest powrót do utrwalonych platońskich wartości: dobra, prawdy i piękna, więcej - do prostoty; czegoś bardziej klasycznego i trwałego niż jeden przemijający wiek.”

Był taki okres, kiedy zajmowałem się handlem. Jeździłem 160 km do Wtelna pod Bydgoszczą, skąd przywoziłem wspaniałe owoce z sadów, które jeszcze za życia otaczały siedzibę i o których wspominał „Wyczółtek”, bowiem obok - w Gościeradzu, o czym wcześniej nie wiedziałem, w 1922 roku artysta, u schyłku swoich lat, pozyskuje od Wydziału Krajowego resztówkę - mały dom - dworek, kupioną za pieniądze od Ministerstwa b. Dzielnicy Pruskiej (3 miliony marek polskich z otrzymanych 10 za dar dla Muzeum Wielkopolskiego

w Poznaniu). Później Wyczółkowski uwieczni „swój” Gościeradz tworząc tzw. tekę gościeradzką, a w niej m.in. „Dworek w Gościeradzu”, „Ścieżkę parku w Gościeradzu”, „Bez biały kwitnący”, „Wiosnę w Gościeradzu” (maj 1931), a ten przyrodniczy, naturalny proces skomentował: „Wiosna wchodzi ze swym zapachem i podmuchem”. Dzięki zaprzyjaźnionemu z nim, nadleśniczemu Kazimierzowi Szulistawskiemu, później wielkiemu darczyńcy dla Muzeum w Bydgoszczy (1948 - ponad 100 pozycji) - jego samochodem, o którym mówił: „Jeżeli coś zrobiłem (teka pomorska), to przez (zawdzięczam) Szulistawskiego”, objeżdżał okolice Gościeradza, docierając m.in. do Chojnic, Tucholi, w Bory Tucholskie, okolice Dolnej Wisły (tak powstał m.in. obraz „Wisła pod Świeciem”). W ten sposób mógł sfinalizować prace, zatytułowane - „Cykl Wisły”, czyli całą rzeczną trasę: Kraków-Sandomierz, Sandomierz-Warszawa, Warszawa-Toruń, Toruń-Gdańsk. Często rysował Wisłę siedząc np. w motorówce, wtedy mawiał, że dlatego, aby „Wisła nie była jak Wołga”. Niezwykle misternie zaznaczał (odtwarzał) szczegóły ołtarzy i kościołów, np. „Kościół w Świeciu”, „Ołtarz w Koronowie”, „Kościół podominikański” (Chełmno), wcześniej, np. „Ołtarz Mariacki Wita Stwosza” (...). Kiedy tworzył „Ratusz w Chełmnie”, konstatował: „dwie wieże, jedna ścięta. Ile razy ją dokończę, to piorun strzeli i spali (...)”. Naturę, a szczególnie drzewa, odtwarzane jego ręką i „narządkiem” wyglądają jak żywe, podkreślają jej wielkość, majestat, bogactwo oraz potęgę życia. Dęby, symbole zdrowia i siły, również przeze mnie często „uwieczniane” na papierze, artystycznie odtwarzane w obrazach Wyczółkowskiego, np. „Stary dąb” (z robaczkami świętojańskimi), „Dąb w Ostromecku”, „Dąb pośród młodych drzew”, „Dąb w Nowym Jasińcu”, „Dąb w zadymce”, „Dęby w słońcu” (za planszę trzech dębów



- złoty medal w Paryżu!) - przewspaniałe! Można długo na nie patrzeć. Zarówno żywe, jak i te z obrazów „Wyczółka”, emanują czymś nadludzkim, niepojętym, owym „gombrowiczowskim” znaczeniowym balansem „od - do”.

Wyczółkowski: „Dęby niesamowite, giganty; śniłem o nich. Jak się zbudziłem. Żałowałem, żałowałem że się zbudziłem. Nie mogłem znaleźć drogi do nich. Mówiłem o tych snach hr. Raczyńskiej (dęby w Rogalinie, wykonał ich plansze - dop. autora). „Ballada”, 1930. Bajka w tonie zielonkowatym. „Dwa dęby i woj na koniu z kobietą”. Ton gobelinowy... ilustracja do „Starej baśni” Kraszewskiego. Głębia jest, bo ja czuję las. W czarnym straszna siła, której nie ma w kolorowym obrazie. „Niebo gwiazdzone”... (1930)”.

Po namalowaniu okazałego dębu królewskiego skomentował: „dwa dni malowałem korę, ciekawe rzeczy. Cały poemat

z kory” (...). „Moje marzenie - ciemny, czarny las i masa paproci; światło skacze po nich, wiatr porusza” (teka „Wrażenia z Białowieży”). Z Borów Tucholskich, m.in. „Osadź”, „Świerk”, „Cis”, „Sosny w gaju cisowym” (1935, na rok przed śmiercią). Któregoś dnia skomentował: „Muzyka wywołuje we mnie obraz kolorowy, obraz kolorowy muzykę. Trzy dęby, flet; cis, świerk - silne kontrasty to organy” „Młode dęby” - (...) „Przejście tonów od wiolinu do basu”. „Dworek wesoly zalany słońcem, kwiaty wesole. „Dworek smutny” pozamykany, ponury, deszczowa pora. [1924] Obiekty traktować ze strony psychicznej. Kwiaty na szarym tle, eksperyment tłumika muzycznie biorąc”.

Innym razem dodaje: „Artyści u nas nie potrafią patrzeć na naturę; kilometry chodzą i nic nie widzą, a tymczasem na każdym kroku jest piękno. Jestem dzieckiem lasu”. Wielokolorowość, jak podkreślałam, obrazuje życie, artysta odczuwał wielowymiarowy majestat natury, starając się przeniknąć jej tajemnicę, zrozumieć, coraz to podkreślając jej bogactwo i piękno, stwierdzając m.in.: „Trzy kolory zasadnicze, którymi można operować: szaroniebieski, szarozółty, szarozielonkowy, a czasem szaroczerwony”. Kiedy jego księga życia dobiegała końca, zamykały je dwa kolory, które, jak wcześniej pisałem, życie kończą. We wspomnianej książce Jolanty Baziak znajdujemy taką oto refleksję: „Autowizerunki z lat dwudziestych, powstałe u schyłku życia artysty, przenoszą emocjonalne wyciszenie, emanują powagą i skupieniem. Żywe niegdyś barwy płowieją, aż wreszcie zastępują je kolory achromatyczne - czerń i biel - w których artysta rozgrywa swój ostatni autoportret”.

Prawdziwie artystyczna wielkość nie pozbawiona jest pokory. Wyczółkowski bardzo krytycznie traktował własną twórczość, szczególnie we wcześniejszym okresie powstawania dzieł: najchętniej wszystko by niszczył i zaczynał pracę od nowa.

Leon Wyczółkowski jest dla mnie przykładem kogoś, kto po mistrzowsku potrafił wypełniać (ujawniać, podkreślać) głębię koloratury w przestrzeni „od - do”, ograniczeń „biało - czarnych”. Świadomie dążył do tego. Talent i niepospolita pracowitość (pracował nawet wtedy, gdy był poważnie chory), zarazem dociekliwość poznawania świata, w tym i siebie, samokrytyka, wrażliwość, innowacyjne poszukiwania oraz dążenie do przedstawienia prawdy o Naturze, dały tak wspaniałe efekty twórcze. Był artystą niezwykle skromnym, co, m.in. zauważamy w jego stwierdzeniu: „Całą tekę pomorską” zawdzięczam Szuliśławskiemu. „Gaj Święty w Wierchlesie - coś odrębnego; ciemne cisy, jasne sosny, topole. Jesienią orgia kolorów”.

Kontaktował się ze znamienitymi ludźmi w całym twórczym okresie swego życia. Na polskich terenach z takimi, jak: Ignacy Jan Paderewski, Jan Matejko (najbardziej cenił sobie jego „Grunwald”, który powstawał obok jego pracowni), Juliusz Kossak, Józef Chełmoński, Teodor Axentowicz, Henryk Sienkiewicz, Jan Kasprówicz, Zygmunt Noskowski, Ludwik Solski, Adam Chmielowski (tu autorsko-duchowe związki - szczególnie). M.in. sportretował Jana Kasprówicza oraz Stefana Żeromskiego z synem. Pomimo odbywanych podróży w różne strony ówczesnej Europy, dokąd udawał się, jak sam mawiał, „legalnie” i „nielegalnie”, gdzie, może poza Ukrainą, przebywał krótko, utyskiwał na niedosyt poznawania dzieł uznanych mistrzów, a także ich samych. Choć trzeba nadmienić, że wiele zobaczył i wielu ówczesnych znamienitych poznał. Pierwszy pobyt na Ukrainie, dokąd później powracał (1883 - 1894), określił: „Ukraina... przełom dla mnie. Tam się odnowiłem i zrzuciłem z siebie wpływy akademii (...). Ukraina cudowna; szalenie kolorowy kraj, skamieniałe morze. Magnetyzuje przestrzeń nieskończona. W nocy wyjeżdżałem na step i od rana nie mogłem się nasycić. Czahary podścielone

konwaliami, kaczęce żółte, jakby kto kobiercem nakrył. Drzewa na czarnych tłach jak cyprysy wybielone. Na Ukrainie w sierpniu r. 1885 czy 1886 widziałem cudowną gwiazdę bełtejską (Wenus) w Bereznie u Kazimierza Podhorskiego. Roś, kamienie, wzgórek, gwiazda olbrzymia skacze do oczu. Stałem jak zdętwiały. - Widzi pan, jaka gwiazda! Cisz, spokój, żywa gwiazda blisko ziemi. W życiu nie zapomnę tego. (...). Raj. Wtedy wziąłem się wściekle do roboty. Jakie ja miałem na Ukrainie męki, jeśli musiałem czekać na moment zachodzącego słońca, żeby w 20 minut wszystko zebrać. Malowałem ranki i wieczory przez kilka miesięcy, chorowałem na oczy”.

Po latach powie: „Jako malarz i człowiek lubiłem ten lud. Plener mój pochodzi ze wsi, z Ukrainy, nie z Paryża”. Nic dziwnego; od dziecka wnikliwy obserwator przyrody, często człowieka pracującego ze zwierzęciem w polu, w krajobrazie przyrody, naturalnej harmonii i rytmu. Te same tematy w późniejszych okresach powtarzał w technice oleju, pastelach, ołówku oraz w grafice, np. „Hucul żarzuca sieć w rzecę” (teka huculska), „Kopanie buraków”. Także „olejowe”: „Krowy na pastwisku”, „Sterty o zachodzie słońca”, „Kurhan na Ukrainie”, „Rybaczy brodzący w wodzie”, „Orka na Ukrainie”, „Siewca”, „Rybak” (później już w pastelach i grafice - „Rybak z siecią”). Wewnętrzna „niespokojność”, stany „niezadowolenia z siebie”, otwartość na sugestywne „wzmocnienie akcentu prawdy” odtwarzanego obiektu, wreszcie zmieniające się stany fizycznych możliwości, wszystko to prowadziło do wręcz radykalnych zmian techniki i formy. Od początków XX wieku odchodził od oleju, coraz rzadszych pastelów, a poprzez techniki metalowe, algrafie, „trafił” w litografię. Jolanta Baziak: „Mawiał (...) do przyjaciół: ...moje rzeczy graficzne zostaną. Więcej przywiązuję do tego wagi niż do wszystkich moich obrazów”.

Berliński krytyk, prof. dr Alfred Kuhn, nazwał go - (...) „Rembrandtem litografii”. To odejście od oleju spowodowało nie tylko jego temperament, ale i względy zdrowotne, a mianowicie alergia oraz makulopatia słoneczna (nabyta z powodu plenerowej obserwacji słońca, szczególnie podczas pobytu na Ukrainie). Niespokojna dusza artysty powodowała, iż zainteresował się także rzeźbiarstwem.

Wyczółkowski: „Zajmowałem się malarstwem i grafiką, szkoda, że się nie uczyłem rzeźby. „Natalkę” robiłem palcami i zapałkami bez narzędzi. Dunikowski polanem gładził rzeźbę. „Rycerz na koniu”, obecnie w Muzeum Narodowym w Krakowie, powstał później. Zrobiłem tę rzeźbę dla Poznańskiego w Warszawie. Laszczka mi pomagał, dał do wnętrza żelazo. Na Ukrainie rozleciało się wszystko. Dla studium konia chodziłem do Tatersalu 1899/1900. Koń mnie kopnął w nogę. Sarkofagi - miesiąc czy dwa modelowałem. Sztukatorzy zniszczyli mieszkanie, piece porozwalali, narobili rumowisk. Powstał posąg. Postawiłem go, potem polichromia. Rzeźbiarz ma szkielec, pręty żelazne, druty jako wewnętrzne rusztowanie. Nie robiłem tego, brałem bryłę i tak jak na deser z sera wyginałem. Kierowałem się modelem wedle oświetlenia, światłocieniem, żeby plastykę wydobyć, zupełnie inaczej jak rzeźbiarz”.

Nieubłagany czas, odliczający kolejne lata artysty, powodował narastający niepokój i świadomość nieuchronności potęgujących się ograniczeń twórczych. Jednakże, nie bacząc na pojawiające się coraz częściej kłopoty ze zdrowiem, intensywnie pracował do kresu swych sił. W 1936 roku pozostawił po sobie ostatnie dzieło (w pracowni w Gościeradzu), niedokończone „Kwiaty w dwuotworowym wazonie”. Dla mnie obraz ten zawiera szczególną cechę symbolu - dualistycznej potęgi życia: Wielkiego Wybuchu i Wielkiego Zgniecenia, Światła i Ciemności. Posiada kolorową fakturę, gdzie fioleto wie dzie prym nad odcieniem czerwieni, żółci i zieleni. Czyż to nie jest wymowne?

Czy zdążył artystę o to zapytać, odwiedzający „Wyczółka” w Gościeradzu, w jego późnych latach, znany pisarz, malarz i animator kultury - Marian Turwid (prywatnie mój wuj - dop. autora) - nie wiemy. Niemniej zdążył on wiele ciekawostek z życia sędziwego już malarza - grafika zapisać i przekazać potomnym. Leon Wyczółkowski do ostatnich dni pomagał młodym, wschodzącym artystom. Kiedy zaproponowano mu w 1934 roku (szkoda, że tak późno) objęcie katedry grafiki w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, podjął się tego niezwłocznie (wcześniej pełnił funkcję profesora malarstwa (1895 - 1911) w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie, przemianowanej w 1900 roku na Akademię Sztuk Pięknych, obejmując stanowisko rektora tej uczelni (1909/1910). Jednakże zły stan zdrowia spowodował, iż wkrótce zrezygnował z tej funkcji).

Pod koniec 1936 roku, podczas zajęć na uczelni, kiedy dosięga go zapalenie płuc, jeszcze do łóżka każe sobie przynosić prace uczniów do korekty, a „czuwającemu” obok Szulistawskiemu poleca jechać do Gościeradza, bo on tam niebawem się zjawi. Do innego z odwiedzających go przyjaciół mówi: „Kostucha mnie bierze za czuprynę, ale jej się nie uda, bo - pokazuje na łysinę”. Wkrótce żegna się ze wszystkimi, gwałtownie słabnie. Umiera 27 grudnia tegoż roku. Zdążył spisać testament i podobnie jak Władysław hr. Zamoyski - dobra zakopiańskie oraz Zakłady Kórnickie, L. Wyczółkowski obdarowuje Polskę, a konkretnie Muzeum Miejskie w Bydgoszczy (wcześniej Poznań) licznymi dziełami (w tym „tatrzańskimi”). Spełniono i drugie jego życzenie - skromny pochówek przy kościele we Wtelnie leżącym tuż obok Gościeradza, a więc blisko swojej „magicznej pracowni z oknem na ogród, w którym - jak w jego ulotnej „Wiośnie” - królowała grusza Małgorzatka, przypominająca Mistrzowi duszę zagubioną wśród gwiazdzonego nieba” (J. Baziak). Żegnały go tłumy osób, a także odwieczne, naturalne i niezwykle często inspirujące artystę motywy - drzewa oraz, jak je nazywał, dusze - kwiaty.

Leon Wyczółkowski: „Sztuka to najwyższa religia. Mistyka. Pochodnia, która w noc gwiazdzistą wznosi się do góry. Myśl ludzka wznosi się do Boga.”

Ponad sześćdziesiąt lat obecności i eksperymentowania w malarstwie i grafice, czego wynikiem był kunszt artystyczny w tych dziedzinach sztuki, przyrównywany do Wielkich Mistrzów, wniosło znaczny, cenny skarb do kultury polskiej i światowej (ok. sześć tysięcy dzieł!). Wyczółkowski będąc pod wpływem burzliwego artystycznie przełomu wieków (XIX - XX), a więc pozytywizmu, realizmu, impresjonizmu, modernizmu, symbolizmu, postmodernistycznego realizmu odrzucał, podobnie jak wspomniany przeze mnie Gombrowicz, stagnację, gotowe recepty i wszelkie „zaszufladkowania”. Pokazał, że pokora wobec siebie, niepokorność wobec rzeczy i form kształtujących zamysł, talent oraz pracowitość rodzi dzieła na miarę arcyzmu.

Czy gombrowiczowskie „dojrzewanie”, przenikanie między stanami jaźni „od - do”, jednostkowej „zażytości z materią” cokolwiek rozstrzyga? Transcendentność przenika fizyczne formuły bycia. Każdy popełniany wysiłek w kierunku przekraczania niewidzialnych barier to tylko konceptualne porywy. Transgresja twórcza napina „od środka” i rozciąga „pomiędzy”. Skąd i dokąd? W uładowanym chaosie...?! M. Janion formułuje myśl: „bo nie może być przekraczaniem, owo poruszanie się po wąskim skrawku egzystencji wydzielonej, tajemniczej, niedopowiedzianej”.

Zakończę słowami Wyczółkowskiego skierowanymi do ucznia i przyjaciela - Pieniążka. Są one proste i niezwykle ludzkie, a pozwolę sobie (dla słowotwórczego kontrastu) na umieszczenie ich w klimacie globalnym z sercem ojczyzny pośrodku, owej cyberprzestrzeni, z centrami astro- i metafizycznymi. Oto one: „Gdybym był młodszy, zawiązałbym bractwo grafików, malarzy i badaczy i rozesłałbym ich po kraju, aby zwiedzali Polskę, rysowali i malowali piękno Polski. Zbierać motywy, potem to przerobić. Na starość przychodzą te rzeczy, od których się powinno zaczynać. Wisła jak panorama japońska: domy, lasy, góry, doliny”.

Piotr Grygiel, Jasień

o duchowych i religijnych aspektach w poezji - list do wacława pomorskiego



Niejako na uboczu pojawia się myśl, że przecież właśnie dzięki religijności zorganizowanej pod kierunkiem duchowych władz i podległych im instytucji, często pod ich mecenatem, rodzą się przeżycia mogące owocować twórczością. Organizując niezliczone: obrzędy, nabożeństwa, pielgrzymki, święta, patronaty, miejsca kultu, itp. stwarzają okazje do powstania twórczego impulsu. Brak takich źródeł zubożył by paletę doznań, straciłaby na tym literatura i sztuka

Drogi Wacku!

Przeczytałem Twoje dwa najnowsze tomiki: „Życie - nurt rzeki” i „W stronę światła”. Zasugerowałeś, żebym coś do Ciebie napisał. Czynię to na łamach dodatku literackiego w biuletynie „Powiat Słupski”, ponieważ uważam, że jest to dobre miejsce dla intelektualnej wymiany myśli między twórcami naszego regionu. Tym bardziej, że temat może

zainteresować, jak sądzę, sporą grupę naszych koleżanek i kolegów po piórze. Być może wzbudzę także w kimś impuls do zapoznania się z Twoją poezją, a przy okazji z moją. Nie jest mi łatwo wypowiadać się bezpośrednio o czyjejs twórczości, gdyż z zasady tego nie robię - nie czuję się wystarczająco kompetentny. Własne poglądy, odczucia i emocje staram się, podobnie jak Ty, wyrazić w wierszach. W takiej

formie przekazu czuję się lepiej i w nich znajdziesz więcej, jeśli będziesz miał ochotę.

Cóż więc mogę powiedzieć jak najkrócej... Próbujesz budować swoją narrację ze światem i sobą w oparciu o treści dostarczane nam z zewnątrz przez religie, politykę, ideologie oraz relacje społeczne zastane w miejscu obecności. Skupię się na tej pierwszej, gdyż ona najwcześniej i najskuteczniej modeluje nasze myśli i zachowania. Ze wszystkich religii praktykowanych na ziemi wybrałeś chrześcijaństwo, a z niego jeden z jego nurtów - nie jest tu istotne jaki - i z tej pozycji próbujesz interpretować rzeczywistość, nadawać sens swojej obecności. Świadczą o tym takie wyrażenia jak: Boże Słowo, chwała i królestwo Ducha, Krzyż, Baranek Boży, betlejemski Chrystus, Zmartwychwstanie, Mojżesz, Arcykapitan, Dekalog i wiele innych, których używasz w różnych kontekstach wyznaczając sobie kierunek, budując na nich fundamenty swojego żywota. Często odwołujesz się do Biblii, cytujesz fragmenty Ewangelii, wskazujesz na wartości które w nich dostrzegłeś. Na tak rysowanym tle dostrzegasz swoją słabość, grzeszność, niedoskonałość, czujesz się „rozchwyani pomiędzy sacrum - a profanum”. Wyrażasz jednak nadzieję i wiarę, że „...krzyż..., krew Chrystusa leczy i oczyszcza”, że „Bóg zła nie wspomni - do piersi przygarnie”. Nadzieję, że dzięki tak widzianemu i przeżywanemu ziemskiemu bytowi, będziesz miał szansę na życie wieczne.

W swoim motto piszesz: „...Lecę jak ćma w stronę światła / ufając Bożemu Słowu / że się nie spalę / i nie przeminę jak wiatr / albo popiół...” Taką twórczością dokumentujesz typową, znaną od wieków postawę religijną: oto ja - mały, słaby człowiek, szukający oparcia w Bogu za pomocą religii, która dostarcza mu narzędzi (słownictwo, pojęcia, określenia) i metod (praktyki, przykazania, wytyczne) jak to robić. Moje pytanie brzmi: czy taka sytuacja, przyjęta i akcentowana w określonych warunkach, wyczerpuje nasze możliwości poznawcze? Czy sprzyja naszemu rozwojowi? Czy wystarczy, by wytworzyć i utrzymać w sobie równowagę niezbędną do życia? Mam wątpliwości. Moja wątpliwość dotyczy zwłaszcza duchowości kształtowanej niemal wyłącznie na podstawie uczestnictwa w formach religijności zorganizowanej, zinstytucjonalizowanej. Czy tak...

modelowana duchowość...

ma szansę stać się zdrową, dobroczynną siłą człowieka? Czy kontakt z Bogiem może być sformalizowany? Na pewnym etapie poznawania, formy instytucjonalne, takie jak kościoły, a nawet całe państwa wyznaniowe, spełniają jakąś rolę. Zakorzenione w odległej historii, cieszące się autorytetem środowiska społecznego, dają złudzenie stabilności i obcowania z prawdą. Jednak, by mówić o prawdzie, trzeba zacząć od szczerości. A szczerość to przyznanie, że wszystko w co wierzymy jest wytworem przekonań, wyobraźni, jest marzeniem. Wierzenia rodzą się tylko wewnątrz żywych czaszek, jeśli uwierzmy na słowo ich właścicielom. Nie ma ich w naturze, przyrodzie, kosmosie. Zatem i bogowie, którzy się z nich wywodzą nie mogą być prawdziwi, a drogi, które do nich prowadzą mogą być i są pułapką. - Błędzicie!... - Ostrzegają nas przedstawiciele innych wyznań. - Nie!... - To wy błędzicie - odpowiadamy przekonani nie mniej... Nasza wiara jest skuteczna - mówią. - A nasza jest prawdziwa i nie pozwolimy jej obrażać! - wołamy ze świętym oburzeniem i stawiamy barykady lub ruszamy w bój... Wpadamy w pułapki. Na naszych ścieżkach instalują je nieustannie jacyś kapłani, rabini, imamowie oraz związani z nimi politycy, którzy mając nas określeniami w rodzaju: wybrańcy, pośrednicy, następcy, krzewiciele wiary, depozytorzy jedynej prawdy, itp. - mają w tym określony interes. Niestety, nasze dobro, osobisty rozwój, poziom świadomości, nasza wolność

i niezależność, bez których jakkolwiek postępek jest niemożliwy, w tym interesie się nie mieszczą. Co więcej, są przeszkodą w wygodnym funkcjonowaniu, sprawowaniu nad nami władzy i zwierzchności. Historia i terażniejszość pokazują jak tragiczne i bolesne są tego skutki.

Sterowaną z zewnątrz duchowość i konsekwencje, dostrzegali jeden z największych moralnych autorytetów współczesnego świata, lekarz, pedagog i społecznik - Janusz Korczak. Pisał: „Jasną Twą postacią zastłoniły mi cienie Twoich, Boże, kłamliwych tłumaczy”. I dalej: „Cieszę się jak dziecko - i nie nazywam ani Wielkim, ani Sprawiedliwym, ani Dobrym - nikim - mój Boże, mówię „mój” i ufam”. W przejmującym pożegnaniu jakie wygłosił do swoich podopiecznych z Domu Sierot mówił: „Nie dajemy (wam) Boga, bo go sami odszukać musicie we własnej duszy, w samotnym wysiłku”.

Jak pisze A. Lewin w swojej książce, Janusz Korczak uważał, że nic nie może zastąpić własnego wysiłku człowieka w poszukiwaniu Boga. Albo znajdzie go sam w sobie pod wpływem własnych doświadczeń i przeżyć, albo go nie znajdzie. Jest to sprawa wyłącznie między nim a Bogiem, którego szuka. Pośrednicy są tu niepotrzebni. Co więcej, ich obecność przeszkadza w nawiązaniu intymnego, osobistego kontaktu między człowiekiem a wszechświatem. „Złożony akt poszukiwania duchowego oparcia w Bogu, zostaje bowiem sprowadzony do wymiaru obowiązków w danej religii dogmatycznych reguł myślenia, przeżywania, postępowania. W ten sposób dokonuje się uniformizacja i schematyzacja obrazu Stwórcy, staje się on jednaki dla wszystkich, człowiek zaś popada w zależność od pośredników, „kłamliwych tłumaczy”. (A. Lewin: „Korczak znany i nieznan”).

Religia, natura, ciało

Inny element, który uwidacznia się w poezji tego typu, to mniej lub bardziej wyrażane obawy, żal, pretensje dotyczące samej materii, a konkretnie ciała: że takie słabe, uciążliwe, grzeszne, niegodne ducha, źródło pokus i różnych problemów. Paradoksem jest, że równoległe, niemal obok, wyrażane są zachwyty nad naturą, przyrodą
j a k o

darami Stwórcy, jakby ciało było z nich wyłączone, nie było ich częścią. To doprawdy zdumiewające „rozdzielenie jaźni” ma swoje źródło w religijnej interpretacji ciała i ducha, która perfidnie przeciwstawiając ich sobie, uczy lekceważenia, wręcz pogardy dla ciała jako siedliska ziemskiej pożądliwości, a wywyższa ducha jako owoc daru nadprzyrodzonego.

Czy nasze ciało doskonałe milionami lat ewolucji, wysiłkiem całej natury, nie zasługuje na szacunek i dumę tylko z tego powodu, że jest jej częścią? Czyż nie było i jest pierwsze w doświadczaniu naszej tożsamości? Wszystko inne: religie, filozofia, idee łącznie z duchem, pojawiły się później, a będąc zmienne nie mogą być trwałym fundamentem świadomej egzystencji. Ciało, tak charakterystycznemu dla człowieka, jego pochodnym, dzięki którym widzimy zwierzęta i wszelkie żywe istoty, należy się szacunek i uwaga także z tego powodu, że będąc tak kruche i nietrwałe, potrafi tak wiele. Rany zasklepiają się same, zrastają kości. W siedemdziesięciu bilionach komórek, w które wyposażone jest przeciętne ciało, odbywa się gigantyczna praca nad przyswojeniem substancji odżywczych, wydaleniem zbędnych. Wędrują one wielokierunkowym, precyzyjnie zorganizowanym transportem przez sto tysięcy kilometrów naczyń krwionośnych. W tym samym czasie, systemem układu nerwowego, przesyłanych jest miliony informacji na sekundę, pod specjalnym nadzorem stu miliardów komórek mózgowych. A przecież to zaledwie ułamek tego, czego dokonuje nasz organizm każdego dnia, każdej minuty. Rano budzimy się żywi, mimo że w czasie snu nie uczyniliśmy świadomie niczego, by tak się stało. Ciało człowieka... Ilekroć okaleczane, poniewierane, lekceważone, towarzyszy nam wiernie do samego końca, nawet wtedy, gdy po duchu - z definicji ulotnym, nie ma już nawet śladu... Serce zawsze cichnie ostatnie.

Trzeba uświadomić sobie, że obecna w

niektórych religiach absurdalna agresja czy niechęć wobec ciała nie jest błędem szalonych teologów, lecz zabiegiem celowym. Człowiek osłabiony walką z samym sobą, z przejawami natury w jego ciele, zmuszony do ujawniania lub ukrywania jego rzekomych win, grzechów, itp., jest łatwiejszy do podporządkowania, manipulacji, szybciej staje się częścią wyznaniowej lub politycznej struktury. To strategia bardzo przejrzysta, a jej konsekwencje widoczne gołym okiem. Spętani dogmatyzmem teologicznej zajezdni, karmieni duchowością z parafialnej kroplówki zasypiamy, tępijemy, oduczamy się trudu poszukiwania Boga „w samotnym wysiłku”, o którym mówił J. Korczak.

Po walce z zaprogramowanymi i nieustannie wskazywanymi grzechami, różnymi mocami ciemności, po stale trenowanej czujności przed złem, które, oczywiście, mnoży się i pełni wszędzie - nie ma już na to siły. Jesteśmy doprowadzeni do stanu, w którym boimy się nawet własnych myśli, życiodajnych odruchów ciała, radosnych przejawów ducha. Za to prawie wszędzie widzimy zło, cierpienie, powody do smutku i niezadowolenia, stajemy się podejrzliwi, dwulicowi, zawistni. Tracimy równowagę. Częściej świętujemy tragiczne wydarzenia, klęski, wypadki i upadki niż zwycięstwa i powodzenia.

To sterowane z zewnątrz skłócenie z samym sobą, ciała i ducha, utrzymywanie stanu permanentnego wewnętrznego dyskomfortu, może skończyć się źle. Może doprowadzić do apatii lub szaleństwa, poddańczej pokory lub fanatyzmu, bo natura nie da się oszukać i zagłuszyć teoriami z ambony. Nic nie zastąpi osobistej, jedynej w swoim rodzaju relacji z bóstwem, jeżeli odczuwamy taką potrzebę. Nie zastąpią jej wszędobylscy pośrednicy proponujący skróty za „co taska” i „Bóg zapłać”.

Czy jest wyjście z takiej sytuacji, możliwa...

ucieczka z narożnika....

w który zaganiają nas i miliony innych ludzi, religia i polityka? Myślę, że tak. Lecz nie piszę tego listu po to, by kogokolwiek ukierunkowywać, wskazywać jakiś sposób myślenia i postępowania, wpływać na czyjąś twórczość. Daleki jestem od tego. Ja tylko mówię, co spostrzegam, starając się być świadomym, przytomnym, uważnym obserwatorem. Z głębi człowieczeństwa wynika też przeświadczenie, że nie jesteśmy tylko produktem społeczeństwa, częścią jego kultury, wytworzonej na danym obszarze geograficznym i przez nią determinowanym, ale czymś więcej. Ze oprócz istotnych cech osobowości ukształtowanych przez rodzinę, grupy społeczne, inne jednostki, mamy w sobie, każdy człowiek, nie skażone i niezależne centrum, połączone z wszechświatem tajemnicze kryptogenum - prawdziwe ja.

Ośrodek bezwarunkowej miłości i wolności, źródło kreatywnej siły. Zakłócenia w łączności z nim, są przyczyną napięć i cierpienia. Zwrot ku niemu ma znaczenie terapeutyczne, przywraca równowagę, nadaje życiu nowy wymiar. Czasem, w medytacyjnym skupieniu, udaje nam się odczuć jego obecność, dotknąć tej tajemnicy, obcować z mikrokosmosem człowieka. Nie ma to nic wspólnego z religią, praktykami religijnymi, i nie potrzebuje asystentów z piśmami, dzwonekami i tacą. Taki zwrot ku wnętrzu nie oznacza rezygnacji z dóbr i wartości, które proponuje cywilizowany świat. Pozwala jednak zachować wobec niego niezbędną dystans i umiar, w sposób odpowiedzialny i satysfakcjonujący. Tylko od nas zależy czy go dokonamy. Nie jest to proces łatwy i pozbawiony kosztów. Osoby, które decydują się na indywidualizm w myśleniu i postępowaniu, muszą liczyć się z niechęcią, ostracyzmem, groźbami. Muszą wytrzymać presję z zewnątrz (łękliwa reakcja instytucji i osób) i z wewnątrz (opór wytresowanego umysłu) i... zachować spokój. Religii i wyznań jest

tak wiele, że - jak mawiała Janina Ipohorska, zmarła w 1981 roku dziennikarka dawnego „Przekroju”, pisząca pod pseudonimem „Bracia Rojek”, „Jan Kamyczek” i innymi - zawsze, z którejś ambony jest się wyklętym. Wiele wieków wcześniej Konfucjusz przestrzegał: - „Kto trzęsie drzewem prawdy temu padają na głowę obelgi i nienawiść. Sięganie po bogactwa życia, cieszenie się nim, wysiłek osobistego rozwoju, okazuje się więc drogą trudną i niebezpieczną. Kto chce mieć „święty spokój”, lub zadowala go pozycja owieczki w stadzie - nie powinien na nią wchodzić”.

Niejako na uboczu pojawia się myśl, że przecież właśnie dzięki religijności zorganizowanej pod kierunkiem duchowych władz i podległych im instytucji, często pod ich mecenatem, rodzą się przeżycia mogące owocować twórczością. Organizując niezliczone: obrzędy, nabożeństwa, pielgrzymki, święta, patronaty, miejsca kultu, itp. stwarzają okazje do powstania twórczego impulsu. Brak takich źródeł zubożył by paletę doznań, straciłaby na tym literatura i sztuka.

Nie ma obawy. Jeszcze bardzo długo, religia w obecnej postaci będzie jedną z głównych i najważniejszych motywów powstawania różnych dzieł, a twórcy nią inspirowani będą cieszyć się poczytnością i honorami. Będą tworzyć pod skrzydłami udostępnianej im opatrnościowej opieki i duchowym kierownictwem swoich duszpasterzy. Tym zaś, tak różnorodnie zhierarchizowanym i utytułowanym, z pewnością nie zabraknie determinacji w obronie powierzonych

im stad i utrzymaniu z takim trudem zdobytych wpływów i przywilejów.

Ks. Jan Twardowski zapytany na jednym ze spotkań autorskich: - Czy można coś dobrego powiedzieć o diable - odpowiedział: - Oczywiście!... Na przykład, że miał dzisiaj ładnie wyczesany ogon...

Przepraszam Cię Wacku, za tę może zbyt długą refleksję, ale wywołałeś ją swoją twórczością. Na koniec pozwól, że podzielę się moim wierszem „Daleka droga”:

*W kalendarzu z roku na rok
przepisują się imiona
a ja szukam wciąż swojego
nie ze świata tego*

*nie przypadkiem nie w urzędzie
poczętego nadanego
bez mej wiedzy woli zgody
świętą wodą skropionego*

*szukam idąc nie wiem dokąd
bo i po co mi to wiedzieć
nie zaczęła się ta droga
ziemskim startem z metą w niebie*

**Pozdrawiam - Zdzisław Opatko
Słupsk**

w pamięci mam zarys skrzypiec



*Ten tytuł zapożyczyłem
z wiersza „Skrzypce” autor-
ki Weroniki Romańskiej.
Mogę śmiało napisać, że
znalazłem ją na portalu:
zacisze.pl i od razu w kilku
przeczytanych wierszach wy-
czułem, że autorka ma po-
jęcie i wie co to jest poezja*

Nie słodzi jak wielu. Ona po prostu zrywa stronicę ze swojego życia. Chyba sama nie jest świadoma, ile po drodze w tych wierszach zostawia uroku. Mam jej czternaście utworów z kilkudziesięciu napisanych. Czym mnie poruszyła? Dramatem i ironią dnia - jakby zrywała korę drzewa, by ujawnić głębię życia. Lubię u niej bystrość spojrzenia.

W wierszu „Nie kupuję - cudowności” czytam:

*„Jestem wyczerpana bezmyślnością
Tą między rankiem a nocą. Z pracy do pracy.
Mieć jeszcze siłę na..., wyzwać się do cna.*

*Nie wiedzieć czemu pięćdziesiątki
przy barze nie wypiję w spokoju.”*

No i zaczyna się to co lubię u niej:

*„Wszachobecni piękni ludzie
pieprzą coś bez sensu. (...)*

Dobrze dobrani. Ach, jak tu ślicznie.”

Słusznie, nie wolno darować żadnej sekundy czy minuty, ale bronić się, by nie zostać pożartym przez ludzką współczesną korozję. Jeśli już odbieramy sobie przywileje bycia ludźmi to, co jest lepsze - staczenie, czy obrona godności? Jak utrzymać to wszystko w ryzach - myśli zapewne poetka, by nie zmarnować życia w tym politycznym bałaganie.

Czytam:

*„Ważne, że świat jest różnorodny.
Pod domem bezdomny pyta
czy mu dorzucę na wino.
Chyba z zazdrości mu nie pomogę.
Też bym chciała zapomnieć
o tym bożym świecie.”*

Czy nie mam racji, że Weronika Romańska jest na dobrej drodze, ozłocona romantyczną przygodą? Opisuję pojedyncze wiersze przez siebie wybrane. Czytam wiersz „Skrupulatni”:

*„Niesforna pani numer dwa
wzrokiem pogania długopis w ręce.
Problemy wyrysowane w podkrążonych oczach
i rozklejonych butach.
To nic, że się śpieszy po dzieci i nikt ich za nią nie odbierze.
To jej wina, że jest samotna. Mogła myśleć wcześniej.”*

No właśnie, każdy w życiu odważny, waleczny jak ma pod bokiem partnera, ale kiedy go brak, bo się narozrabią, to trzeba inaczej poukładać obowiązki. Więc autorka wymiata skrytą, niezgrabną codzienność ze świata tak zwanych homo sapiens.

Poetka spieszy donieść:

*„Kolejni zdmuchują kurz z parapetów
wyglądając przez okna.
Wycierają krzesła, niszczą wykładzinę.
Kolejka zobowiązuje do ekszhibicjonizmu.*

*A ja w zębach dłużej wykałaczką.
Mogę ją jeszcze wsadzić w ucho”.*

No to rozbierajmy się, w gęstości masy tych ciał nic nie widać, ale można zawsze zaprotestować. Ja rozbieram się dla jednej wybranki, ale i przy niej trochę tak tańcząc, nie całkiem ukazując całego siebie. Przecież tu nie chodzi o nagi taniec. To nie pokaz ogierów...

Poetka W. Romańska jest bardzo kusząca, zatem kusi i motyle w nocy. Diabelna przystawka - jakby stary młyn pracował i dzień, i noc, obracają się zębaki, koło się kręci, ziarno miażdżone, jakby młyn był sadystą. Ale autorka zaczyna delikatnie w wierszu „Spotkanie”, ale jak:

„Zrobię sobie rzęsy węglem zimnym
będą wtedy nęciły jak noc. (...)
Usta namaluję od nowa,
najlepiej w burgund je schowam.
I nie zapomnę o uśmiechu zalotnym.
Pędzłem poprawię policzki
ubierając je w pewność siebie.
W nie moim guście sukienkę włożę (...)
Na uszach zawieszę kolczyki
- rękodzieło kłamstw.
A na szyi sznur masy perłowej
choć sztuczny, stwarza iluzję.
Nie zapomnę o żadnym szczególe.
A wszystko po to żeby móc
wyjść naprzeciw przeznaczeniu
z twarzą
- nieprawdziwą”.

I to cała odtwórczyni ironicznych zalewajek słownych. No, ma w tym pazur, i co ważne, potrafi naigrywać się z siebie. A to jest sztuka. Bo kto zaczyna od siebie? Zwinność łączenia słów konkretnych nie przychodzi łatwo. Trzeba się z tym urodzić. Poetka Weronika Romańska ma swój stan odniesienia do świata zewnętrznego. Z nim też czyni porządek. Naśmiewa się w swoich wierszach. Nie poddaje się, choć niełatwo brnąć w tej kniei.

Jestem pewny że Romańska jest w pełni utalentowana i dojrzała w tym, co robi. Mógłbym dodać: czuje się dobrze w energii przestrzennej, w której ma powstać wiersz.

W wierszu „Karuzela, poczekalnia” czytamy:

„Ateiści mówią, że nie ma sensu.
A ja z uwiecznieniem, nie mając
już siły w nim się kryję. Tam tłumy jak ja niepewne. (...)

Bóg jak to Bóg,
krzyżuje wszystkie swoje dzieci.”

O religiach napisano tomy... Tak się zastanawiam, że jeśli jest jeden Bóg, to po co tyle jest religii na świecie? A gdyby ich nie było, to i by ten Stwórca sobie odpoczął. Przecież on nie jest w stanie tego ogarnąć. Wierzcie, pijcie i bawcie się w kłamstwa, jakich jest niemało na tym świecie. Próżność zrobi swoje...

Poetka nie odpoczywa. Oto jej wiersz „Mam romantycznego stajla”:

„Połykam, wypluwam obłoki od rana,
w rytmie radiowych przebojów.

Przy kawie mam wybór;
zachwycać się kiczem
lub butem odwzorować
urocze landszafty.

Przy lunchu z towarzystwem
wygłupię się parę razy

chcąc podkreślić kim jestem.
Opowiem o moim regale z książkami.
Wszystkie w ładnych okładkach.

Na obiad wgrzynam się
w jelenia na rykowisku. (...)

I może też pousycham z tęsknoty
na dwa łyki włośką wytrawną butelką.”

I tak trzeba autorko, nie zaglądać, co idioci czynią, wziąć butelkę, przenieść się w inne miejsce, choćby na łąki puszyste. A wieczorem lub nad ranem napisać o idiotach, których nie przekonasz nawet wierszem. Bądź taka. Bądź taka jaka jesteś, na luzie odbieraj ten świrowaty świat. Rosną ludzkie drzewa, rośnie ludzki las o nazwie: analfabeci. A ty, poetko masz tylko pisać, choćby dla kilku osób, takich jak ja. I na luzie, na luzie panienko, bierzmy butelki jak miecze i idźmy do ogrodów, jak najdalej od zgniłej cywilizacji.

Gdyby takich Weronik było więcej, na pewno byłoby mi trudno pisać te krótkie opracowania. Dobrze, że jest jedna. Bo tak naprawdę, nie ma dużo piszących o ważnych sprawach. Szyć słowo po słowie. Tak robi autorka.

Oto wiersz „Na szklanej powłoce ślady dłoni”: (Od razu zauważyłem tę metaforę. Chyba podobnie napisałem w Wiedniu ponad dwadzieścia lat temu...)

„Wyłożona brukiem z twarzy droga

Purpurowa fontanna
tryskająca wszystkimi wydzielinami
Wzrok przez który nic się nie przedostanie. (...)

Bzy tylko wędną
w smutku sphywają po posągach.”
Piękna liryka. Liryka czystej wody!
W wierszu „Jestem” mamy zupełnie inny klimat:

„Bólem podcinam struny głosowe
żeby móc krzyżeć
ciszą absolutną
Kląkam ubrana w rozpacz

Nad przepaścią się śmieje
Wszystko robię po to żeby wstać
i pójść w każdą stronę”

Ile w tej jednej kobiecie jest kobiet? Ktoś powie jedna, a wcale nie. Kobieta może mieć kilka zasłon w sobie. Z tego wiersza wyłaniają się jakby dwie kobiety. Pierwsza to ta, która poddaje się i upada. Druga nad przepaścią się śmieje.

Wiersz „Taniec o świecie”:

„Dozgonnie wiema zostałam
skreślona na miał

awans od życia
codzienny gwałt

dla wybrańców taniec o świecie
pod rękę blady cień

taki taniec ja i ona (...)

butelka jak krzyż żaden grzech
rzeczywistość ucieczka pali w gardło”

Tak, tańczmy z cieniami. Unośmy niezgrabnie to, co nalane jest w kieliszku, by tę truciznę zalać, żeby o niej nie myśleć. Poetka idzie pod górę, co zwie się życiem, „wyłożoną brukiem z twarzy drogą”... Więc piję z tobą poetko,

bo i w moim życiu jest wiele hałasu. Uciekam do mojej krajiny, na wydmy, stawiam butelkę, patrzę na morze i wlewam, by gardło paliło. Krzyczymy razem, niech cienie usłyszą... Może, może się zawstydzą.

Oto wiersz „Zapamiętasz”:

„Patrzysz, wiem.
To nie triller. Budujemy napięcie.

Jak pies wzdychasz.
Tylko nie wyjdź do księżycyca. (...)

Ustami muskasz mgłę. (...)

Oddech wchodzi w rytm
nazwijmy go nietaktem.
A teraz obnażam się.

Tajemnica zostaje odkryta”

Och te różne gry, kobieta i mężczyzna, ile jest woli zdobywania, każdy dryfuje, narzuca moc, by skorzystać z dobrodziejstw, jakie ma ciało. Ona jego, on ją, szukają się, choć są obok siebie. Potem jest reguła. Powszechne wibracje, czasem kłamstewko unosi się jak dym z papierosa. Ona grzmi: - Tylko nie wyjdź do księżycyca”. A on posłucha. Na tym polega znużenie. Dlatego kobieta powinna mieć czterech mężów, a mężczyzna cztery żony..

Wiersz „Hotel jak grejpfrut” - też go zauważyłem. Na pewno Romańska była na coś lub na kogoś wkurzona, bo tu naprawdę dzieją się niesamowitości.

„Świeczuszki, lampeczki, pierdołeczki.
Prawie uwierzyłam w klimat jak ze snu... (...)

Przy barze kelnerka.
Z kijem w dupie stoi sztywno. (...)

Za dychę na godzinę można
sobie kupić kukłę. (...)

Prezes. Widzę po figurze,
że wszystko w życiu zaokrąglił. (...)

W toalecie drze ryja na sprzątaczkę
i wyciera czoło papierem trzywarstwowym
miękkim. (...)

Gdyby wszystko w życiu wracało
właściciel byłby świnią a ja
dywanem na klatce schodowej.
Chodziłyby po mnie
buty już z błota wytarte.”

Potrafi autorka zaskoczyć. Umie zauważyć drobne szczegóły, które stają się ważne w jej poezji. Jest co czytać, bo poetka, jak wcześniej napisałem, nie tworzy cukierkowych smaków. Ma w sobie taką armatkę i każdego, który na to zaśleżył, trafia celnie. Kieruje się swoją, czułą inteligencją i za to jej dziękuję.

Zygmunt Jan Prusiński
Ustka



ada zelek - słupsk

Jestem rodowitą słupszczanką, od dwóch lat mieszkam w Gdańsku, gdzie szukam swojego miejsca. Ukończyłam Wyższą Szkołę Zarządzania w Słupsku na kierunku administracja. Z natury jestem społecznikiem. Żyję dla innych, nie dla siebie. Nigdy się nie nudzę. Pracuję, piszę, pomagam innym. Mimo przeciwności losu nie tracę pogody ducha. Mam 40 lat (nad czym ubolewam). Kocham morze, lubię grać w kręgle. Cenię ludzi, którzy tworzą i mają coś do przekazania innym. (z)

ODBICIE

Spoglądam w lustro
Nie poznaję siebie
Całkiem inna postać
Oczy nie tryskają blaskiem
Rysy szarością pokryte
Usta grymasu nabrały
Czas szybko uciekł
Pozostałam w przeszłości
Najlepsze odeszło
Nie wróci tu nigdy
Szkoda buzi dziewczęcej
Brak dawnych atutów
Co się stało
To się już nie odstanie
Trzeba żyć wspomnieniem

1996

ANIELE STRÓŻU

Aniele, stróżu Ty mój
Wznosząc przygaszony wzrok
Usta składam w grymas pytania
Dlaczego wciąż pozwalasz mi
Popętniać błędy, zadajesz ból
Odsuwasz od wzniosłości
Spychasz poniżej poziomu
Marnujesz pokłady dobra
Karmisz uczuciami zło
Wyprowadzasz w ciemną noc
gasząc najmniejszym pomchem
tłący płomyk dany na drogę
Rozpalasz serce by w lód zamienić
Dajesz nadzieję, choć dawno umarła
Opuszczając mglisty wzrok
Usta w milczeniu składam
Proszę i błagam!
Aniele, stróżu mój
Ty przy mnie ZAWSZE stój
Trzymaj mocno za lewą rękę
Zabierz w końcu udrękę

Rano, w południe i w nocy
nie odmawiaj wsparcia
nie zapominaj o pomocy
Strzeż od złych, nie od złego

Daj odrobinę spokoju wiecznego...

W SIECI

Otoczona pajęczyną cudzych spraw
Opleciona wieńcem kłamstw
Spętana lawiną nieustających prośb
Duszająca wszechobecną patologią
Otulona mgłą kolejnych złudzeń
Zakotwiczona w nowym obcym miejscu
Wspinająca po stromych zboczach gór
Ogrzewająca tłącym płomykiem nadziei
Spadająca niespiesznie w odmęt
Krążąca w ruinach przeszłości
Zatroskana bilansem niezrealizowanych planów
Malująca obraz życiowej przystani
Zastygła w nicości własnych starań